

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 3. VII.
1960 r.
Nr 26 (122)
Cena 1 zł

odgłosy

Temat: **TARWID** - o czym mówią ludzie - patrz felieton na str. 2

WIELUŃSKI GANG

Reportaż Jerzego Pilichowskiego na str. 3 i 5



**TAJEMNICA STAREJ
KAPLICY WIELKIEGO
MISTRZA**



**CO ZNISZCZYLI
JUNKROWIE
OSTRÓDZCY?**



**CZY SIENKIEWICZ
DOTARŁ
NA POLE BITWY?**



**ARCHEOLOGOWIE
NATRAFILI
NA GRÓB MASOWY**

Dobra zabawa

„Wesoły agent” zakończył rok szkolny, „igry”, „beztroska zabawa” i wiele jeszcze innych tego rodzaju epitetów przyjął łódzkiej żakiniadzie. Mówiono o dobrych pomysłach, socjologicznych, ciekawych kostiumach, założeniu, że trochę destrukcji przeszkodził młodzieży, a szkoda, bo dopiero wówczas można by zobaczyć wiele interesujących rzeczy. Wszystko to było rzeczywiście bardzo ładne, bardzo wesołe, niekiedy wzruszające, niekiedy... szokujące, ale przeszło, skończyło się, rok szkolny się skończył, młodzi rozjechali się na kolonie, obozy, na wędrowniki, zaczęli w charakterze autostopowiczów samochody, my również kwitujemy te dni, z obowiązku kronikarskiego zamieszczamy zdjęcie, rzeczywistość jest ciekawe, zdjecie jak i sportretowani bohaterowie.

Dobrze jest, że zwyczaj żakiniad zaczyna się w Łodzi utrzymywać, to jest na pewno dobra tradycja, którą należy kontynuować i wzbogacać. Do brze jest, powtarzam, Łódź jest miastem, któremu potrzebne są tego rodzaju imprezy, one barwią łódzkie szare dni i łódzkie szare ullice.

Wydaje mi się jednak, że:

1) program żakiniad, oparty na inicjatywie młodzieżowej, wyłącznie młodzieżowej, zarówno artystyczny jak i rozrywkowy, nie powinien być wzorowany na schemacie, który rokrocznie będzie się powtarzał; wszelkie standaryzowanie jest uproszczeniem, a uproszczenia nie są ciekawe;

2) bawić się powinni wszyscy, to jest podstawowe prawo żakiniady, wspólna zabawa, ale nadawać odpowiedni ton, poziom, dyrygować, powinni najlepsi, to jest drugie niepisane prawo żakiniady.

T. M.

**KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI pisze
o wizycie u króla Hirama na str. 8**



„Mój ksiądz” podczas zwiedzania zamku Krzyżowców w Saldzie

EDWARD MARTUSZEWSKI

ZABIERZCIE NAMIOTY NA POLE BITWY

Obraz Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem” sugeruje, jakoby cała bitwa 1410 roku rozegrała się na odcinku jednego lub dwu kilometrów. Sugestię tę potwierdza zlokalizowanie pomnika z 1953 roku, postawionego na kilkukhektarowej łączce, ogrodzonej z dwu stron drzewami a z trzeciej szosą.

W rzeczywistości pobojowisko grunwaldzkie obejmuje przestrzeń kilkunastu kilometrów kwadratowych i nie ma właściwie miejsca w rejonie wsi Grunwald, Stębark, Łodwigowo i Ulno wo, z którego można by objąć wzrokiem cały teren bitwy.

Budowany obecnie nowy pomnik grunwaldzki, dłuta prof. Bandury z Krakowa, usytuowany jest nieco lepiej, na wzgórzu, i lepiej też akcentuje wielkość wydarzenia historycznego. Nie słusznie jednak — tak mi się wydaje — umiejscowiono strzeliste proporce tuż obok właściwego o wiele niższego pomnika. Ostateczne jednak zdanie na ten te-

mat należałoby wypowiedzieć dopiero po ukończeniu robót budowlanych. A są one obecnie w punkcie kulminacyjnym.

Ktoś, kto był na polu grunwaldzkim, nie pozna go za trzy tygodnie. W rejonie Grunwaldu i Stębarka pojawiły się nowe odcinki asfaltowych szos, nowe skrzyżowania, przystanki autobusowe, a w trakcie budowy znajduje się olbrzymi parking dla paru tysięcy samochodów. Nie buduje się natomiast ani sklepów, ani schronisk. Na okres uroczystości ustawi się kilkadzie-

Dalszy ciąg
na str.
3

Nasza szkoła

Felietonistyka jest plotkarstwem podniesionym do rangi zawodu. Podobnie np. zajęcie konferansjera jest gadulstwem podniesionym do rangi zawodu, literatura może być z historią, głupotą, wścibstwem lub złośliwością podniesioną do rangi zawodu i tak dalej. W zasadzie żyć można z każdej osobistej wady równie dobrze, a często lepiej niż z zalety, cnoty czy talentu.

Plotkarstwo bywa twórcze i reprodukcyjne. To pierwsze bardziej jest q-bezydliwe, polega na wymyśleniu faktów lub ich wyolbrzymieniu. To drugie polega na powtarzaniu tylko rzeczy istotnie zasłyszanych, a czasem nawet prawdziwych. Ta forma plotkarstwa cieszy się lepszą reputacją u ludzi, acz w praktyce bywa bardziej dokuczliwa. Spróbuj się nią posłużyć. Redaktor powiedział bowiem, że Belfer sobie, a ludzie sobie, nie ma tego tam współbrzmienia i w ogóle co to za nauczyciel, który nie umie podsłuchiwać.

Pouczył mnie też Redaktor, że ludzi bardziej interesuje to, co sami wiedzą, niż to czego nie wiedzą, choć to niby absurd i paranoja. A już najchętniej ujrzeliby w druku, to, o czym sami mówią. Osobiście nie wiem, po co wydawać i zł polski za to, co można mieć gratis. Ale nasz klient — nasz pan, a cóż dopiero nasz szef, Tylko o czym ludzie mówią?

Długotrwałe badania podsłuchowe dały nikłe rezultaty. Bo ludzie niewiele różnią się od felietonisty. Zazwyczaj o niczym nie mówią, albo inaczej, mówią o niczym. Jeśli ktoś chce rzucić w Belfra kamieniem, niech naprzód odpowie na pytanie, o czym rozmawiałostu jego bliźnich, z którymi Czytelnik jechał dziś rano do pracy.

Podaję wszakże kilka wybranych tematów. Repertuar jak w operetce: stare i w kółko to samo.

NR 1 — PIENIĄDZE

Gdyby pieniądź nie istniał stalibyśmy się narodem mruków. Pieniądź jako temat rozmów ma niezwykle właściwości. Istnieje i prosperuje w równej mierze wów czas, kiedy są pieniądze, jak wtedy, kiedy ich nie ma. Tym różni się np. od



kilkakrotnego mordercy, który musi egzystować, żeby awansować do rangi powszechnego tematu. W obu sytuacjach kształt rozmów nie

ulega zmianom. Kwestia: na co wydać, na niebieskie trumnlaki czy weekend w Spale oraz kwestia skąd wziąć, żeby móc na cokolwiek wydać — stanowi dusej jednorodny kłopot.

Jeśli jakiś On zdradził — opowieść na ten temat jest rodzajem lekarstwa na kłopot. Rozmowa o pieniądźach nie łagodzi samego kłopotu. Przeciwnie, wzmacnia go. Spośród wydana czy też brak pieniędzy jest kłopotem samym w sobie, ale na skutek myślenia o tym i walkowania w rozmowach staje się kłopotem podwójnym. Wtedy dopiero kwestia pieniędzy żre i martwi człowieka całą sobą. Zdawałoby się, że lekarstwem na ten nieuleczalny kłopot jest niemyślenie i niemówienie. Przeciwnie. Jak uczy doświadczenie, wszyscy ludzie zupełnie już kłopotów pozawieni (a są i tacy) wkładają wiele wysiłku w sztuczne stwarzanie ich sobie. Nie mniej niż ich skłopotani bliźni w kłopotów zwalczanie.

O CZYM MÓWIĄ LUDZIE?

NR 2 — URLOP

90 procent ludzi podejmując na ten temat po kilkakrotnych rozmowach, tworzy skom-



plikowane i ścisłe plany i konsultuje je, niczym ofensywę w wojnie światowej. 50 procent ludzi nie realizuje żmudnie opracowywanych planów. Ale większość na jakich tam urlop wyjeżdża, przysięgając sobie, że następny obmyślony będzie jeszcze lepiej, a nawet zamysły zostaną zrealizowane.

W czasie pobytu na urlopie rozmowy na temat urlopów wzmagają się. Dotyczą zarówno tego problemu w ogóle, jak i drobiazgowych części składowych konkretnego, spędzonego właśnie urlopu. Po urlopie temat przestaje być aktualny. Następuje drobiazgowy konfrontacja urlopu własnego z

cudzymi, która kończy się dopiero wówczas, kiedy ostatni znajomy wróci do miasta. Lwią część tematu urlopowego stanowi temat nr 1. Gdyby produkcja była u każdego z nas przedmiotem tak ścisłych i solidnych badań, planów, konsultacji, konfrontacji i obserwacji jak urlop, byłibyśmy genialnymi wynalazcami i organizatorami. Oczywiście, trzeba by tylko sprowadzić robotników gdzieś z Pałgonii.

NR 3 — TARWID

Wnieście przez Prokuratora Generalnego rewizję nadzwyczajną przywrócić zainteresowanie osobą profesora, kwestią śmierci jego żony i mającym się odbyć kolejnym procesem. Bazy, ogonki przed sklepami i podwórza żądają krwi.

Jak wiadomo sprawa Tarwida jest poszlakówką i nigdy już chyba z całą pew-

nością nie będzie wiadomo, czy zamordował on czy też nie. Opinię publiczną mogą tu dręczyć dwie kwestie: że niewinny może zostać skazany i że winowajca może wymknąć się sprawiedliwości.

Ale ogonki, bazy i podwórza są absolutnie przekonane o winie. Wynika owo stąd, że skoro Tarwid miał jakąś inną kobietę — to znaczy był łobuz. A skoro był łobuz, to nie mógł nie zabić. Tego przekonania nie zachwieje żaden wyrok uniewinniający i nie podważą żadne faktyczne okoliczności sprawy. Ogonki, bazy i podwórza chcą na Tarwidzie wziąć odwet za wszystkie zdrady i odepnięcia swoich mężów.

Zdawałoby się, że ludzi powinno bardziej gnębić to, że winny może siedzieć za swe winy. No bo w pierwszym wypadku krzywdą jest skonkretyzowana, wyobraźalna, jednostkowa, w drugim zaś abstrakcyjna i społeczna. Poza tym groźniejszym społecznym jest zjawisko, że niewinni siadają niż że winnych nie spotyka ka-

ra. Dalej — raz ulewinnie oskarżony budzi zazwyczaj sympatię. Myślimy „przeszedł gehennę i oto znów go się czeplają”. W tym wypadku wszystkie te zwykłe odezucia nie działają. Ogonki, bazy i podwórza osadzają niewinnego samca i co dzień jęzorami



wieszają na szubienicy warszawskiego profesora. Bo czasem tak jest, że na cudzej szubienicy można przy okazji powiesić swoje własne krzywdy.

NR 4 — TAK ZWANE BOLĄCZKI

Ekspedientka drzemała, konduktor rzucił brzydkim słowem lub za wcześnie dal sygnał odjazdu, kelner źle obsłużył, w palni zamienił płaszcz, ulicę znów rozkopali, masła w porę nie dowieźli itd. itp.

Wszystko to nie tylko codzień na nowo jest zauważane i oceniane. Wszystko to co dzień na nowo jest odkrywane. Człowiek, który by codziennie mówił, że szyba jest przezroczysta i do faktu tego jakos się ustosunkowywał, już po miesiącu zostałby załadowany w kaftan bezpieczeństwa.

A my jednak codziennie odkrywamy ze zdziwieniem i oburzeniem, że ekspedientka drzemała, konduktor rzucił brzydkim itd. Codziennie komentujemy wciąż to samo. Codziennie komuni-



kujemy te wielkie prawdy bliższym i dalszym bliżnim.

Trudno nie zauważyć, że np. nasz mąż chrapie. I trudno, żeby to wciąż od nowa nie denerwowało. Ale codziennie mówienie o tym, mówienie ciągnące się latami — bardziej rozkłada współżycie z chrapiącym niż samo chrapanie. Jest czynsz cięższym i gorszym. Jest po prostu większym kalectwem. Kalectwem ouderwanym już od samego chrapania — kalectwem mówienia o chrapaniu.

NR 5 — O NICZYM

Temat to najczęstszy i główny. Jego ciężar gatunkowy jest tak wielki, że o tym mówić będą osobno, w kilku tysiącach felietonów, jakie mam zamiar jeszcze napisać.

BELFER

SEDNO RZECZY

MARIAN PIECHAL

Doświadczenia i wyobraźnia

Doświadczenie i wyobraźnia to dwa motory popędu twórczego. Czy w każdej dziedzinie twórczości? W każdej. Nie tylko w artystycznej, ale także w naukowej, społecznej i politycznej. Cóż to za artysta bez wyobraźni? Chyba imitator, epigon albo zgola grafoman. Ale wtedy trudno mówić o twórcy, bo twórca, to jednak odkrywca, a jakoż odkrywca coś bez przewidującej wyobraźni? Wyobraźnia bowiem, to przyrodzona czy też nabyta zdolność przewidywania czegoś, czego jeszcze nie ma, lecz co może być, bądź ujawnione bądź też dopiero stworzone przez człowieka. Istota twórczości naukowej polega właśnie na takiej umiejętności przewidywania.

Wynika z tego jasno, że żeby wygrać w jakiegokolwiek dziedzinie działalności ludzkiej, choćby w szachy lub dajmy na to w kukso, trzeba posiadać odrobinę wyobraźni. Tym bardziej potrzebna jest ona, wprost niezbędna, żeby osiągnąć cokolwiek w dziedzinie twórczości najtrudniejszej — twórczości artystycznej. Jednak wiemy, że twory oparte wyłącznie na samej tylko wyobraźni, nie oparte konkretnymi przykładami ludzkiego doświadczenia nazywane są — i słusznie — plodami czczej fantastyki, bo nie nasycają w pełni naszego głodu prawdy czy też tylko prawdopodobieństwa. Słowem — wyobraźnia nie zastąpi doświadczenia, a doświadczenie wyobraźni.

Jaki z tego wniosek? Że tylko wyobraźnia w parze z doświadczeniem może wydać dzieło twórcze w pełni artystyczne czyli jedynie wartościowe. Autentyzm doświadczenia zabezpiecza wyobraźnię przed jałowością fantastyki — niejako uziemia ją, czyni ją konkretną. Wspólnota większości naszych doświadczeń i doznań chroni naszą wyobraźnię od egzotyizmu czyli od zrozumiałości tylko dla niewielu. Na przykład „Apokalipsa św. Jana” zrozumiała jest tylko dla niewielu, bo zrodziła się z wyobraźni wynikłej nie z doświadczenia wspólgo wielu ludziom, lecz dostępnego jedynie szczególnej jednostce, związanej bardziej z niebem, niż z ziemią. Natomiast takie dzieła jak Mikołaja Kopernika „O obrotach sfer niebieskich” lub Marksa i Engelsa „Manifest komunistyczny” są w pełni zrozumiałe dla wszystkich, bo przewidywania w nich zawarte czyli wyniki wyobraźni ich autorów oparte były na konkretnie sprawdzalnych doświadczeniach większości ludzi.

Tak więc chodzi o tę równowagę między doświadczeniem a wyobraźnią. W doskonałym dziele sztuki zawsze ją odnajdziemy. A także w każdej innej dziedzinie działalności ludzkiej. Oczywiście nie wyłącza to innych możliwości skrajnych arcydzieł doświadczenia i wprost przeciwnych arcydzieł wyobraźni, jak np. „Powstanie narodu polskiego w roku 1830—31” Maurycego Mochnackiego i „Kordian” Juliusza Słowackiego albo „Polska wieków średnich” Lelewela i „Stara Baśń” Kraszewskiego — te same tematy, ujęte przez wprost przeciwne metody: sprawdzalnego doświadczenia i swobodnej wyobraźni.

Można wynosić jedną metodę nad drugą, ale wydaje mi się, że pełnię zadowolenia, pełnię satysfakcji wewnętrznej da nam dopiero połączenie obu tych metod czyli zaspeków w pełni nasz głód prawdopodobieństwa przeczytanie o powstaniu listopadowym i arcydzieła historyzoficznego, Mochnackiego i arcydzieła literackiego Słowackiego, podobnie jak o początkach Państwa Polskiego dzieł Lelewela i powieści Kraszewskiego.

Ale, jak powiedziałem, doskonale dzieła sztuki zawierają tyleż surowego doświadczenia, co lotnej wyobraźni. Nowym tego przykładem może być wyszła świeżo biografia słynnego francuskiego malarza, Toulouse-Lautrec'a napisana przez Henri Perruchot'a a wydana w pięknym przekładzie Krystyny Dolatowskiej, znanej tłumaczki niejednego już arcydzieła literatury francuskiej. Henri Perruchot specjalizuje się w biografii wybitnych malarzy postimpresjonistycznych. Pierwsza jego książka była praca o van Gogh, druga o Cezanne'ie (wyszła w przekładzie polskim przed dwoma laty), a trzecią właśnie jest ta o Toulouse-Lautrec'u. Państwowy Instytut Wydawniczy wyposażył tę książkę podobnie jak i poprzednią o Cezanne'ie w mnóstwo wyrazistych i często barwnych reprodukcji arcydzieł plastycznych nieszcześliwego malarza. Bo, jak powszechnie wiadomo, Toulouse-Lautrec, aczkolwiek pochodzący z bogatej i starożytnej rodziny hrabiowskiej, był od urodzenia kaleką — karłem, o monstrualnej wprost brzydotle, w którym natura jakby przez złośliwy kontrast czy też przez litościwą przekórę złożyła niepospolity skarb nadzwyczajnego talentu. I widocznie leżało to już w charakterze losu, jeśli tak można powiedzieć, tego artysty, że wszystko, co się działo w nim i przez niego, działo się mocą kontrastu. Był brzydki, a tworzył piękno, był bogaty, a żył w nędzy, myślał i marzył wzniośle, a przedmiotami jego twórczości były knajpy, tancbudy, cyrki, domy publiczne i prostytutki. Cała jego twórczość była protestem przeciwko bezsensowi istnienia, życie protestem przeciwko śmierci, a śmierć przeciwko beznadziejności życia. Właśnie z kontrastu między smutnym doświadczeniem a radosnym marzeniem o życiu wydobywał jako rekompensatę najbarwniejsze wizje swoich arcydzieł plastycznych, jego wyobraźnia syciła swoje kolory i kształty oraz wszystkie ich niezwykle niuanse sokami i krwią jego najboleśniejszych, jakże okrutnych, odrażających i plugawych zazwyczaj doświadczeń.

Przeczytajcie tę książkę — dowiedcie się, jakim piekłem życiowych doświadczeń artysta płacił za skarby swej artystycznej wyobraźni, z której powstają tak bardzo dejektujące arcydzieła.

Ogórków nie ma! Jest ciekawa lektura!

Najbliższe numery „Odgłosów” przyniosą wiele interesujących pozycji. Między innymi:

- Zakończenie ankiety „Zagadki sportu”
- Felietony dyskusyjne Władysława Rymkiewicza pt. „Palestra na rozdrożu” i „Aby żyć”
- Felietony na tematy międzynarodowe: „Tajemnice drugiej wojny światowej”, „Dokąd idą Amerykanie w Niemczech?”, „Hitler miał śmieszne wąsiki”
- Reportaże zagraniczne np. „Z czterech mórz i dwóch cieśnin”
- Artykuły: „Jak urządzić mieszkanie?”, „Mężczyźni w oczach kobiet”, „Człowiek, który umarł za słońce” i wiele innych.

Nie zapomnij zaprenumerować „ODGŁOSÓW” przed wyjazdem na urlop.

ZABIERZCIE NAMIOTY NA POLE BITWY

Dalszy ciąg ze str. 1

siat kłosek, zaopatrywanych przez dwa magazyny pod namiotami oraz przez wielkie samochody-chłodnie.

Miejmy nadzieję, że ten system aprowizacyjny zda egzamin, choć wydaje mi się, że zbudowanie kilku sklepów z zapleczem magazynowym nie byłoby jednak od rzeczy, ponieważ na pole grunwaldzkie co roku, nie tylko z racji uroczystości, przyjeżdżają liczne wycieczki i turyści indywidualni.

Gorzej od aprowizacji zapowiada się sprawa noclegów. Liczne miejsc w okolicznych hotelach, schroniskach turystycznych i obozowiskach campingowych jest nieproporcjonalnie mała w stosunku do przewidywanej liczby uczestników. Jeśli nawet dodamy kwatery w szkołach i w mieszkaniach prywatnych, obawy nasze nie będą w pełni usunięte. Wybierając się więc na uroczystości grunwaldzkie autobusem, weźcie ze sobą namiot, ot fak na wszelki wypadek.

Pod namiotami już teraz mieszkają żołnierze, którzy pomagają ekipie archeologicznej na polu grunwaldzkim. Pobojowisko z 1410 roku jest bowiem rozkopywane dziś nie tylko przez budowniczych pomnika, amfiteatru, parkingu, dróg, grzebią się w ziemi również uczeni, mając do

pomocy — jak wspomniałem — oddział żołnierzy.

Badania archeologiczne skoncentrowano w roku bieżącym na ruinach kaplicy zbudowanej na polecenie wielkiego mistrza Henryka von Plauen, następcy poległego pod Grunwaldem Ulricha von Jungingena. Jak się obecnie okazuje kaplica była właściwie sporym kościołem, otoczonym zabudowaniami gospodarczymi, zamieszkałymi przez księży i ich służbę.

Po sekularyzacji państwa zakonnego i wprowadzeniu w Prusach luteranizmu kaplica opustoszała, powoli zamieniała się w ruinę, ale jednocześnie też mury jej zaczęły obrastać leśnymi. Archeologowie odnajdują dziś przy nich wotywne monety — z okresu od początku XV wieku aż po czasy Księstwa Warszawskiego — wrzucane do środka ruin przez ludzi pragnących wyzdrowienia.

Niedaleko ruin kaplicy znajdował się jeszcze sto lat temu stawek, którego wodzie również przypisywano własności lecznicze. Ustały one podobno, gdy jakaś pani wykopała w stawku swego pieska. A może był to tylko pretekst, aby zerwać z wierzeniami nie znajdującymi potwierdzenia w faktach?

W 1901 roku na gruzach kaplicy junkrowie ostródzcy postanowili ufundować pomnik. Nie sprowadzili w tym celu marmuru, nie odlali też

pomnika ze spiżu. Zadowolili się ustawieniem albrzymskiego glazu granitowego, na którym napisali, że w tym właśnie miejscu poległ śmiercią bohatera wielki mistrz Ulrich von Jungingen. Przy okazji skłamanili, że zginął w obronie niemieckiego prawa i niemieckiego istnienia...

Ale gorszym od tego kłamstwem jest chyba fakt, że stawiając wielkiemu mistrzowi pomnik, junkrowie przesy jednocześnie zamordowali legendę mazurską. Granitowy głaz bowiem leżał przedtem przy drodze z Łodwigowa do Grunwaldu a miejscowi Mazurzy nazywali go głazem jagiellowym (względnie królewskim), twierdząc, że to właśnie na nim odpoczywał Jagiello po bitwie, wydając rozkazy dalszego ścigania niedobitków krzyżackich.

Ulnowski Mazur, Franciszek Góralski, twierdzi, że jeszcze w roku 1855 na polu jego ojca znajdował

się kamień z jakimś napisem. Niemiecka szkoła nauczyła Góralskich czytać jedynie gotykiem, nie umieli więc odczytać słów utworzonych z liter alfabetu zwąnego łacińskim. Ponieważ pod Ulnowem znajdował się oboz Jagielly przed bitwą — bardzo możliwe, że napis na kamieniu mówił właśnie o tym fakcie.

Otóż w 1885 roku, podczas manewrów wojskowych, jakiś oficer niemiecki zauważył ów kamień i, kazał ojcu Franciszka Góralskiego rozłupać go na drobne kawałki i wywieźć z pola. Pan oficer kazał, rozkaz wykonali i zanim jeszcze w 1901 roku kamień między Łodwigowem i Grunwaldem został zgermanizowany, zamieniony w kamień wielkiego mistrza, kamień jagiellowy w Ulnowie został rozbity...

Henryk Sienkiewicz, pisząc „Krzyżaków”, chciał dostać się na pole grunwaldzkie, ale władze pruskie

miały go na oku i w odpowiednim momencie nakazały temu poddanemu cara zawrócenie z drogi. W kilka lat potem, w przededniu pięćsetnej rocznicy bitwy grunwaldzkiej, Wielkopoleński Kaczorowski chciał odkupić od Niemca majątek Grunwald. Jak opowiada Franciszek Góralski byli już podobno u adwokata, podpisywali już kontrakt, gdy w ostatniej chwili interwencja dziedzica z Zybułtowa uniemożliwiła przejście majątku Grunwald w ręce polskie.

Dziś, po pięćdziesięciu latach, Grunwald jest Państwowym Gospodarstwem Rolnym. I to jednym z najlepszych w województwie. A polscy archeologowie odślaniając fundamenty kaplicy, na której postawiono kamień jagiellowy jako kamień wielkiego mistrza, natrafili na obrzynany grób masywowy, który zbadany zostanie dopiero po uroczystościach grunwaldzkich. Próbnego wykopy dają już jednak

podstawę do hipotezy, że w grobie tym znajduje się dwa dziećcia tysięcy szkieletów...

Można więc przypuścić, że kaplicę wotywą zbudowano nie tylko w miejscu śmierci jednostki, Ulricha von Jungingena (który jak wiadomo zginął w ostatnim rozpaczyliwym kontrataku krzyżackim), ale tam, gdzie pozbawione dowództwa, otoczone z trzech stron oddziały krzyżackie chciały ratować życie, rzucając się do panicznej ucieczki.

Jeśli więc za miesiąc przy jedziecie na uroczystości grunwaldzkie nie zapomnijcie zwrócić uwagę na najbliższą okolicę obozowiska archeologów. W tym bowiem miejscu prawdopodobnie szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę, w tym miejscu uratowany został 550 lat temu był dwu naródów — polskiego i litewskiego.

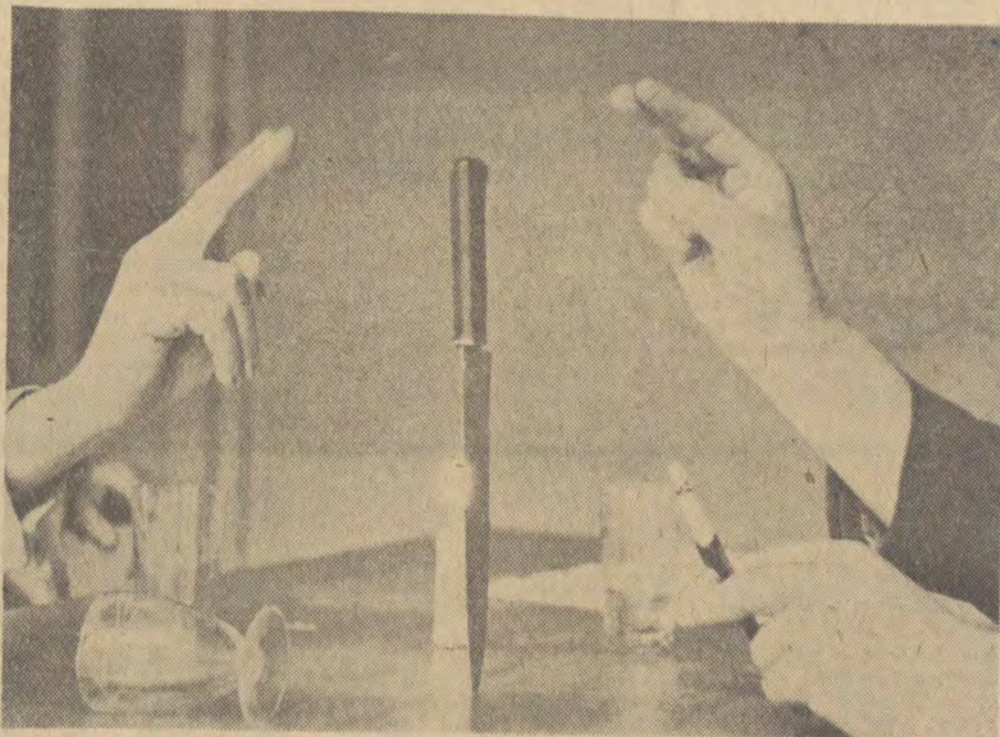
EDWARD MARTUSZEWSKI



Zabierzcie namioty na pole bitwy. Oczywiście, niekoniecznie tak luksusowe i drogie jak „Plasticamping” oglądany w Parku Poniatowskiego przez tych czterech Budrysów. Wystarczy tani, turystyczny za 490 zł. Fot. A. Izeraki

**Przysięgamy
wierność
organizacji,
posłuszeństwo
szefowi...**

**Spokojna,
twarda ręka
„szefa” gangu
(z papierosem)
zawsze gotowa
do
niespodziewanej
akcji.**



WIELUŃSKI GANG

JERZY PILICHOWSKI

W sali sądowej jest duszno. Toczy się rozprawa przeciwko Wojciechowi Imachowi i innym. Przez okna widać słońce i nabrzmiały zielenią park. Za oknami toczy się normalne życie.

Na ławy oskarżonych nie

pada żaden promyk słońca; siedzą zmięci, zmęczeni gorączką oczekiwania: 23-letni „szef” gangu i 9 dwudziestolatków — w tym jedna dziewczyna. Od czasu do czasu ośmielają się podnieść wzrok na huczącą salę lub na sędziów do połowy zasłoniętych górą akt. Jest tego kilkaset stron — pion 13 napadów rabunkowych i

kradzieży. Niektórzy z oskarżonych czynią wrażenie porządnych chłopaków — inni zwykłych rabusiów.

Wojciech Imach, Stanisław Drezner, Marian Lebkowski, Andrzej Zieliński, Anna Idezak, Zenon Sujka — wokół tych nazwisk kręci się głównie tryby procesu, reszta to paserzy, nie-

dopuszczeni do wyższego stopnia „wtajemniczenia”.

Czego szukali w gangu? Przygody, zysku, szczęścia? Czy osiągnęli upragnione cele? W sali sądowej materializuje się trop bandy.

* * *

Zegary kościołów zdążyły oddzwonić ostatnie kuranty. Gdy uciechły ciemne uliczki zbierali się w Sujki na najbardziej poufne spotkania. Czasem chybotali w izbie płomyk świecy. Spóźnionym przechodniom mogło się wydawać, że jakaś troskliwa matka karmi dyskretnie nie mowę, by nie budzić reszty domowników.

U Sujki nie było niemożliwe. Wbito w środek stela nóż rzucał srebrne skóry na długie cienie podniesionych do góry palców.

„Przysięgamy wierność organizacji, dochowanie tajemnicy, posłuszeństwo „szefowi”, nawet a dyby to miało grozić śmiercią w „lochach” milicji...”

Kolejno całowali krzyż. — Przy mnie nie spadnie wam włos z głowy, ale kto żgnie! — zrobi to po raz ostatni w życiu — syknął Imach. Oparł dłoń na rekejści noża, po czym niespodziewanym ruchem wyrwał go ze stołu, wbijając w nowe pudełko portugalskich sardyniek, które Drezner przyniósł z „korytarza” — schowka pod płytą grobowca na cmentarzu.

— Wariat, jakie ma ruchy — pobladał najbliższy siedzący Lebkowski, któremu nóż „szefa” o włos nie przebił leżącej na stole ręki.

— Zamknij pysk „gruby” — zreflektował go Imach — gadał dalej jak z kioskiem...

„Przywieźli fotografa, robił zdjęcia wyrwanych drzwi i ziemi dookoła. Nawet psa prowadził na długiej linie, ale nie bardzo wiedział gdzie węszyć...”

— Lichy pies — zaśmiał się Drezner.

— Co dalej „gruby”?

— Nie wiem, musiałem spieszyć. Jakiś cywil do-czepił się do mnie, i peścił przez cały dzień...

— Dlaczegoś s...u nie powiedział wcześniej — ryknął Imach — Jazda chłopcy, spływamy stąd!

— „Gruby” idzie pierwszy — zdecydował „szef”. — Gdyby cię przychwycił powiedz, że czekałeś na dziewczynę, pierwszą lepszą z tej ulicy...

Imach zdmuchnął świecę. Gasnący płomyk jeszcze raz z bliska oblał światłem jego chłodną, zneruchomiałą twarz. Nazwisko tego chłopaka od kilku lat pamiętają mieszkańcy Wielunia, a na zawsze chyba zapamięta je obywatel Kołodziejczyk.

(Dalszy ciąg na str. 3)

czyli
seria niespełnionych nadziei

Baronowa Anna Wolkoff (2)



Czegóż nie zrobi zakochany mężczyzna dla najmilszej? Tym bardziej gdy ma się 24 lata, a kobieta jest pełna, kusząca i stwarza wszystkie pozory kochającej głęboko i ikliwie. Stare to prawdy jak świat, a mimo to, każdy musi sam dojść do nich. Nic nie pomagają doświadczenia innych. A że często przychodzi się płacić „frycowe”... No cóż, — tak już jest ten świat zbudowany...

Nie są to fragmenty rozmysłań — Tylera Kenta. O, nie! Kent był dopiero na etapie ku... „frycowemu”. więc myślał mniej więcej tak:

...Anna żąda ode mnie rzeczy prostych. Codziennie przeciętę stykam się z rozmaitymi tajnymi pismami, które wymieniają się między Downing Street a Białym Domem. Niewiele bywa również dokumentów, które Chamberlain, czy Churchill adresując do Roosevelta nie docierały do zacisznego pokoju kierownika szefów ambasad amerykańskiej w Londynie. A iskrowki o angielskich planach strategicznych, o organizacjach militarnych, iskrowki z podziękowaniami i prośbami, z potwierdzeniem dokumentów przywożonych przez kurierów dyplomatycznych? Na ogół dotyczą one spraw ważnych. Bywają jednakże wśród nich o niewielkim znaczeniu. Przechodzą przez wiele rąk. Wszystkie dotyczą wojny. A ja nie chcę i nie noszę wojny! Jeśli więc Anna powiada, że mogę pomóc w zatrzymaniu tej krwiwej imprezy, cóż prostszego jak spełnić jej prośbę?...

Wzrastala „miłość” baronowej do młodego Kenta. Co raz bardziej czule były ich spotkania. Oboje potrafili się cieszyć z wiadomości, że oto jeszcze jeden atut zdobyty dla wielkiej sprawy powstrzymania groźby wojny.

Kent napisał do ojca w jednym z listów wysłanych w kwietniu 1940 r.: „... już niedługo będę prosił ciebie i matkę o przybycie do Londynu. Chcę żebyście poznali moją Annę”.

NA WIDOWNIĘ WKRACZA SCOTLAND YARD

Późnym wieczorem 18 maja 1940 r. w rezydencji ambasadora USA w Londynie rozległ się ostry dźwięk telefonu. Dzwonił Scotland Yard i prosił o przyjęcie przez ambasadora swego przedstawiciela.

— O key — odpowiedział Joseph Kennedy — jeśli to taka pilna sprawa, proszę, czekam.

Kilka minut później, w głębokich fotelach gabinetu ambasadora prowadzona była ożywiona rozmowa.

— Sorry, ekscelencja wybaczy, że zabieramy czas, sprawa jest jednak zbyt delikatna i ważna...

— Jesteśmy w posiadaniu pewnych faktów, które usprawiedliwiają naszą ingerencję — sądzę — w interesie obu mocarstw, Ameryki i Anglii. Tak więc pozwoli ekscelencja, że przeprowadzę krótką rekapitulację.

— Proszę, cały zamieniam się w słuch. Ale przed tym

— jedną szklaneczkę whisky.

Odstawiając opróżnioną szklaneczkę, przedstawiciel Scotland Yardu rozpoczął od stwierdzenia, że przedmiotem rozmowy będzie Tyler Kent.

— Kent? — zdziwił się Kennedy. A cóż ten chłopiec wam zawinił?

— Gdyby tylko nam — nie byłoby o czym mówić — padła kurtuazyjna odpowiedź. Tu jednak idzie również o Stany Zjednoczone.

— Rzeczywiście? — w pytaniu ambasadora zadźwięczała nutka ironii.

Popłynęła więc opowieść o powiazaniach Tylera z pewną grupą, co do której istniało podejrzenie, że pod płaszczykiem antysemityzmu prowadzi pro-niemiecką, wywiadowczą działalność. Omgdaj aresztowano pewną dziewczynę, która doskonale znała Kent. Dziewczyna po dejrzała jest o szpiegostwo na rzecz hitlerowskich Niemiec. Ona opowiedziała o stosunkach Kenta z baronową Wolkoff.

— Myśmy baronową od dawna mieli na oku. Doskonale wiedzieliśmy, że jej zainteresowania sprawami niemieckimi nie płyną z pasji działania na polu zbliżenia angielsko-niemieckiego... Eksceńcja być może niewiele wie o miłości Kenta do uroczej baronowej. Na krok nie odstepują od siebie. Nawet dalekie przejażdżki samochodowe odbywają zawsze razem. I widocznie wolą bardziej korzystać z samochodu o dyplomatycznych znakach, aniżeli limuzyny baronowej...

— Zupełnie nieprawdopodobne historie opowiada mi pan, mister...

— Dorning, Gregory Dorning.

— Oto fakty ekscelencjo. Dorning sięgnął do portfela, z którego wyjął kilkanaście zdjęć. Na wszystkich był Kent, Anna Wolkoff i samochód ze znakami rejestracyjnymi ambasady amerykańskiej.

— Co też panowie zamierzają czynić?

— Chcemy prosić ekscelencję na zezwolenie na dokonanie rewizji w mieszkaniu Kenta.

Przez chwilę panowała cisza. Tylko tykanie wiekowego wiktoriańskiego zegara z nieublaganą regularnością odmierzalo czas. Joseph Kennedy siedział nieruchomo w fotelu. Przymknął oczy.

— O key! Czyżcie co do was należy. Sądzę, że o wszystkim będę natychmiast informowany.

— Oczywiście, ekscelencjo.

c.d.n.



Dyrektor i kierownik artystyczny teatru — Czesław Staszewski



T. Lotenberg i T. Olesiński w „Mężczyźni” G. Zapolskiej Foto — Studio

O tym teatrze nie pisze się tak jak o innych, recenzje oznacza się mniejszym drukiem, spycha się je na stronę mniej ważne, o tym zna było różnie patrzeć na fakt narodzin tej placówki, można się było obawiać, czy to nie błyskotliwa efemeryda, dziś jest, jutro jej nie

Portret zbiorowy

teatrze mało się pisze, za mało, jak na jego rolę, którą spełnia, którą powinien spełniać. Teatr ma małą widownię i małą scenę doświadczenia, nie trzeba narzekać na to, mogłoby być jeszcze gorzej i było gorzej, widocznie wydział kwaterunkowy uznaje, że teatrowi niepotrzebne są duże pomieszczenia, gdy nazywa się Teatrem Ziemi Łódzkiej, gdy ma do rozporządzenia „sceny” całego województwa. To nie są żale dyrekcji Teatru, to jest moje osobiste zdanie, nie wymienialem z nikim na ten temat żadnych uwag; sprawa pomieszczenia nie trzeba traktować dosłownie, znajdzie się w tej aluzji miejsce na inne treści.

Kreślę jeszcze jeden portret w rubryce „Łodzianie”, jeszcze jeden zbiorowy portret i zastanawiam się, czy ten felieton odda w pełni sprawiedliwość. Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej pierwszy w Polsce teatr objadwy powstał niedawno, w roku 1953; na początku mo-

ma, były podstawy by sądzić, że to bohater z góry skazany na niepowodzenie, podobnie jak bohaterzy dzieł wiekopiętnych powieści, bohater pozytywny, ale skazany na klęskę, ponieważ nie jest przystosowany do życia, „lisnij czełowiek”. Start Teatru przypominał sytuację Robinsona, aktorzy, reżyserzy i dyrektorzy, wszystko zaczyna li od początku, nie mieli wzorów, nie mieli żadnej tradycji, nie znali swojej widowni, nie znali widza, nie mieli pojęcia, kto jest adresatem sztuki wystawianej na scenie. Wiedzieli tylko, że robotnik, że chłop, że pustynia kulturalna. Szkło nie sta pia się z żelazem — usze Fiedin — i nie w naszej mocy zmienić coś w losie bohatera. Mimo to bohaterowie się zmieniają, pustynia ożywia, „lisnij czełowiek” ustępuje z powieści i życia, teatr wyjeżdża w teren coraz częściej, jest wyczekiwany w najdalszych wsiach i miastach. Aktorzy i reżyserzy stwierdzają zmiany, odkrywają swojego widza, poznają jego smaki i upodobania, jego kulturę artystyczną i intelektualną, poznają swoją widownię, nawiązują z nią kontakt.

Teatr grywa na przeszło stu scenach w województwie, w ubiegłym roku aktorzy Teatru odegrali 686 spektakli, z czego 467 w miastach i wsiach województwa. W 53 roku przedstawił Teatru Ziemi Łódzkiej obejrzało przeszło sześćdziesiąt dwa tysiące widzów, w 57 — sto siedemdziesiąt cztery tysiące, w 59 przeszło sto pięćdziesiąt dwa tysiące. W repertuarze teatralnym oglądamy Słowackiego, Fredre, Szaniawskiego, Gogoła, Dickensa, Mollera, Goldoniego, Zapolską, Rydla. Nazwiska te, według niektórych krytyków, mają świadczyć, że Teatr daje niejako gwarancję artystycznej uczelności. Ale w ocenie Teatru nie można chyba zastosować mechanicznej, szablonowej tendencji, tu czarno, tam bialo, trze ba się liczyć z wieloma „aspektami”, z wyposażeniem technicznym teatru, z widownią, z tym, że Teatr daje

często przedstawienia w miejscowościach, gdzie po raz pierwszy stanęła noga aktora. Teatr nie forsuje awangardowych kierunków w sztuce, nie sili się na wyszukiwanie nowych rozwiązań formalnych, ale to nie znaczy, że zespół nie ma własnych propozycji, że nie ma własnego widzenia teatru. Nie wiem, czy można mówić o indywidualnościach



Maria Niedźwiecka w „Mężczyźni” Gabrieli Zapolskiej Foto — Studio

aktorskich, ale na pewno można mówić o dobrej grze, o wdzięku rekwizytów; główną zasadą Teatru jest stworzenie, o ile to możliwe, dobrego dzieła sztuki, pokazanie widowni interesującej rzeczy, zbliżenie go do teatru, do zagadnień teatralnych, motorem interpretacji aktorskiej jest w tym wypadku poprawne rozumienie tekstu. Teatr „powtarza” w pewnym stopniu Fredre, Zapolską, Rydla, ale dzieje naszych klasyków dowodzą, że każde pokolenie znajduje w nich coś nowego, odkrywczego, tematy najbardziej „bliskie”; są to sprawy istotne, ale często sporne, Teatr swoją działalnością daje także przyczynek do dyskusji o tradycjach inscenizacji sztuk klasycznych. Tuż należałoby szukać artystycznego „credo” Teatru, w jego funkcji wychowawczej i wciąż jeszcze pionierskiej. I w tym aspekcie można mówić o funkcji Teatru nie tylko w stosunku do odbiorców w tak zwanym terenie.

TADEUSZ PAPIER

LEOPOLD BECK

Teatr Jaracza pokazuje „Nasze kochane dziatki”

Obecny sezon teatralny przyniósł już kilka niespodzianek repertuarowych. Kolejną sprawił nam Teatr im. Jaracza sięgając do repertuaru typu „715”. Sztuczka Nicola Manzari’ego „Nasze kochane dziatki”, zasobna w farsowe pomysły, ale biedna pod względem tekstowym, tworzy pozory, że chodzi jej o problem deprawacji i wychowania młodzieży (mieszkańskiej). Nie bierzmy za złe, że są to tylko pozory i że istota tej bladości jest ładunek, rozrywkowy modnego tematu.

W wydaniu scenicznym Teatru im. Jaracza, dziele współpracy aż dwóch reżyserów, najbardziej jest scenografia Natomiast rysunki niektórych postaci są czarno-białe czyli: poznawane nianów. Uważam, że rolę Marildy z takiej so-

bie farsy nie należy obsadzać bohaterką z tragedii przeznaczenia, dysponując tylko jednym wyrazem twarzy. Do czarno-białych rysunków zaliczam również jednostajne sygnalizowanie naiwności (Julia) — nawet wówczas praktykowane, kiedy tekst nie wymaga zbyt wielu akcentów mimicznych.

Dramaturgia rozrywkowa stawia wykonawcom niekiedy większe zadania niż wielki teatr. Rzecz w tym, kto kogo ratować musi — aktor autora czy autor aktora. W „Naszych kochanych dziatkach” na czele ekipy ratunkowej stoi Janusz Mazanek (Marek). Wspólnie z parą młodych — Bożena Darlak (Grazia) i Lucjan Wierniak (Riri) ratuje on Nicola Manzari’ego czyli autora rzecz.

Rzecz jest o naszych kochanych dziatkach — tak

tonaczych w ofchłani zepsucia. Ale dziatki dają rodzicielom lekcję, jak należy wychowywać paniczów i panienki i łąca dzielną adwokatke z bogatym architektem, samotną matkę z samotnym ojcem — po szantauz fałszowaniu weksli, ucieczce i fantazjach erotycznych. Niechaj nikt się tych słów nie przestraszy, bo zobaczy że wszystko skończy się happy end’em, w co nikt na widowni nie wąpił przymuwać cała impreze według taryfz stosowanej przy librettach operetkowych czy komediach muzycznych.

„Nasze kochane dziatki”. Tłumaczenie: Jadwigi Pasenkiewicz. Reżyseria: Karol Borowski i Janusz Mazanek. Scenografia: Ewa Sobolowa. Kierownictwo literackie: Jan Kołt.



Foto G. Puciato

(Dalszy ciąg ze str. 3)

Niedoszły zabójca

WIELUŃSKI GANG

1 maja 1953 roku starszy pedagog — ówczesny dyrektor gimnazjum, nakręciwszy jak zwykle zegar wiszący na ścianie, schodził z krzesła na podłogę. Wtem, wśród gąszczy rosnącego za oknem drzewa, posłyszał szmer i ujrzał młodą chłodną twarz. W sekundę po tym padł strzał. Żelazne siekane, którymi była nabita stara raketnica, ugodziły dyrektora w brzuch.

Imach wykonywał „wyrok” grupy drugorocznych chuliganów. Aktowi temu usiłowali oni nadać charakter polityczny, wybrali Pierwszy Maja...

Młodocianych bandytów nie zgubiły psy MO. Nim Kołodziejczyk odzyskał przytomność i był zdolny złożyć jakiegokolwiek zeznania, cała trójka siedziała już pod kluczem, a raketnica i inne dowody rzeczowe spoczywały w szafie prokuratora. Wieluń długo wrzał z oburzenia.

1954 odjąć 1937 to 17. Tyłeż lat miał Imach, gdy stanął przed Sądem (prof. Kołodziejczyk powoli odzyskiwał zdrowie). Trzy lata brzmiał wyrok (łagodny z uwagi na młody wiek). Wspólnikom Imacha wystarczyła ta nauka. Obaj są obecnie porządnymi ludźmi i wstydzą się swojej młodzieńczej przeszłości.

Imach pozostał sobą, 17 plus 3 to dwadzieścia lat. Tyłeż ukończył, gdy wyszedł z więzienia.

Mam za mało pieniędzy i za dużo rozsądku — by pracować — dowcipkował. Rodzice dawali mu na utrzymanie, „by wypoczął” i „przyszedł do siebie”.

I przyszedł, do swojej wilczej natury. Już w niespełna dwa lata później zorganizował nową bandę. Wkrótce drugi niebezpieczny „kociół” MO zaczął się wokół nich zaiskaczać.

* * *

Na sali sądowej następuje przerwa. Sędziowie opuścili miejsca, milicjanci zdwoili uwagę. Adwokaci mają poważne miny — nie robią wielkich nadziei. Rodzice oskarżonych wycierają, napływające do oczu łzy. Cały czas mówi się o „nim”, ale nikt nie wymienia nazwiska, wszyscy wiedzą, że Imach w tym miasteczku to rozmnażający się bakcyl

przestępstwa (wysiedlić — rzuca ktoś myśl). Ale wszyscy wiedzą to dziś tak samo dobrze, jak wiedzieli przed rokiem i przed 7 laty. Mimo tego zlekceważyli niebezpieczeństwo. Nie potrafili ustrzec swoich dzieci. Świadkowie bez przerwy potwierdzają tę bolesną prawdę:

„Ciągłe spotykali się z „nim” w kawiarni, pili wino i omawiali jakieś sprawy.

„W mieszkaniu Jadwigi Żelaznej przy ul. Narutowicza także odbywały się „bibki”.

„Czasem widywaliśmy ich z „nim” na Dołku (za miastem).

„Dużo więcej zrabował ludzom niż jest napisane w akcie oskarżenia, ale baliśmy się skarżyć milicji...”

Tropy wiodą na każdą ulicę, przystanek PKS, stacje, docierają do okolicznych wsi (wszędzie zapisują się „dobrze” w pamięci). A po każdym przestępstwie zbiegają się nocą w mieszkaniu Sujki.

„Prawa ręka szefa”

Gdy „zrobili” MHD nr 7 znów spotkali się u Sujki. Sprawy były poważne. Milicja deptała im po piętach. Wtem na ulicy rozległy się głośnie kroki. Sujka zbliżył się do okna, ale nie zobaczył.

Ktoś stuknął trzy razy w drzwi. Imach zawahał się, potem spojrzął na zegarek i ostrożnie otworzył.

Weszła „Agnieszka”. Padał deszcz, dziewczyna miała mokre włosy, pachniała medykamentami szpitala.

— Przyszłam wcześniej... — powiedziała.

— Żle, odczep się teraz — warknął Imach, łapiąc za ramię Sujkę. — Siedzą pogadamy trochę...

— „Zdryfilę?” „Żęzoł” co?

— Ee, — zaparł się Sujka — Wiedziałem, że to „Agnieszka”.

— Wiedziałeś? Śledzisz ją? To moja „prawa ręka” wiesz o tym...

— Prawa d...a, a lewa to Ela Ciapa — co? odciał się.



czyli seria niespełnionych nadziei

— Masz s...u!

Pięć Imacha dwukrotnie trafiła w podbródek młodszego kumpla. Sujka chciał oddać, ale w rękę „szefa” błyskał już nóż.

Przed miesiącem do tej kłótni wtrąciłby się Drezner. Przecież on pierwszy „zrobił” wełnę u Jadwigi Żelaznej, którą tam zostawiła Leokadia Foltynska ze wsi Hula, przewodził też trochę wśród młodszych. Ale teraz Drezner siedział cicho w kajce.

Imach był od niego sprytniejszy. Skoro rzecz z wełną się wydarzyła zebrał ich i „przemówił”;

— Gówniarze tak kradną! Na własną rękę każdy z was się „wysypie”. Trzeba razem i z głową — jeden dobry „skok” i boskie życie przez cały rok.

Przestali na to kierownictwo: siedział przecież w „mamrze” — wie jak się to robi, żeby nie złapał — rozdziel się młodzi.

Rozpętała serię, szybko po sobie następujących, rabunków, włamań i drobnych kradzieży: sklep z zegarkami, parę sklepów MHD żywnościowych (padły ofiarą nawet króliki w Zakonie O. O. Franciszkanów, kury u dyrektora szpitala), ale obiecany „dobry skok” wciąż nie wychodził.

Imach imponował. Siedział „na robotę” brawurowo. Drwił sobie z praw i zasad współżycia społecznego. Za chcieli się im uczyć, „szef” wchodził np. do Zasadniczej Szkoły Zawodowej kopnął w drzwi magazynu, a za parę chwil była już kielbasa, „pasztetówka”, masło — zarcia na cały miesiąc. Brakło forsę na wódkę, trrach! Poleciał zamek szafki pielęgniarki z internatu i już jest 700 złotych.

„Numery” wychodziły; nabyli wprawy — działali szybko i zgodnie z planem. Czego nie zjedli i wymiotowali — szło do „korytarza” na cmentarz.

Z wielkich ambicji Dreznera pozostał tylko ów klucz od skrytki, ale „szef” zabronił udawać mu się tam bez niego, szli zwykle razem.

Drezner i Lebkowski nie znaleźli jednak w gangu „obiecane go raj”. Ciągły strach przed milicją wprawiał jednego w łomotanie serca, a drugiego w młocność. Bali się własnego cie-

nia, ale bali się również przynajmniej do tego. „Za dużo wiedzieli by mogli się wycofać” — tłumaczył ich Imach.

Trzeba zdobyć broń

Złatwiewszy „sprawę” z Sujką, Imach przysiadł się do swojej dziewczyny. Jedli przypalaną nad świecą czekoladę, nie zwracając uwagi na innych. Zadrościli mu „Agnieszki” — wiedział o tym. Nie jednemu w pysk „przyppaprał” za zbyt dużą natężoność. Lecz dziś się nikt nie czepiał — brakowało wódek, zegarków bali się sprzedawać. Ze wszystkich stron wjeźrzyli wywidawców MO (i nie mylili si). Byli osaczeni.

— Zrobić „skok” na GKS? Wtrącił się szef do ogólnej rozmowy. Niezła myśl, ale łomem się tu nie da zrobić. Najlepiej byłoby w jiały dzień, kiedy kasa jest otwarta, ale trzeba zdobyć broń. Ręczę, kasjer ani mrugnie okiem, a zresztą jeśli mrugnie sypniemy mu parę „klusek” i w nogi.

— Wlecie — zaproponował któryś — do Wielunia dojeżdża taki stary dziad — milicjant. Można by mu dać w „czapę” i zabrać pistolet?

Drezner postawił na stole dymiące kury.

— „Żęzoł” dawaj resztę gody. Jutro spotykamy się w Domu Kultury, obmyślimy co i jak — rzekł „szef”.

Uczyli mieli zwykły koniec. Gdy Imach spił się ryknął: — wont holota!

Bez słowa sprzeciwu opuszczali mieszkanie, zostawiając Agnieszkę z „szefem”. Tylko Sujka nie miał się gdzie podziać. Jak wypędzony pies z budy błąkał się wzdłuż po ulicach śpiącego Wielunia, przeklinając gang i swój los.

„Agnieszka” działa

Pewnego dnia Anna Idczak przyszła „zalana” na dyżur do szpitala — powiadają świadkowie na rozprawie.

Mówiła nam wtedy: —

Jestem „Agnieszka” wśród gangsterów — prawą ręką szefa.

Miała przy sobie kilka zegarków, parę kosztownych szminek i innych drobiazgów.

Kulisy tej historii wyjaśniła Idczakówna w Sądzie.

— Tego dnia byłam na spacerze z Imachem. Naprzeciw nas wyszedł patrol MO. Skręciliśmy w boczną uliczkę. Szef kazał mi ukryć małe ciężkie zawiniątko. Szybko wsadziłam je za gorset. Milicjanci poszli dalej, ale Imach bał się wziąć z powrotem zawiniątko. Później piiliśmy wódkę. Imach rozkleił się, pokazał mi w zauku broń a potem trzy naboje.

— Czy wiesz dla kogo były przeznaczone? — Nie — odrzekłam. — Dwa dla patrolu a trzeci... Nie sądzisz chyba, że pozostawiłbym przy życiu świadka takiej historii...

— Czy oskarżona dostawała jakieś zadania od Imacha lub kogokolwiek z waszej bandy? — pyta sędzia.

— Dwa dni przed Świętami (Bożego Narodzenia 1959) — zeznała Idczakówna siedziałam z Dreznerem w kawiarni. Potem przyszedł Imach i dwóch nieznanych mi mężczyzn. „Szef” kazał żebym ich wzięła „na bajer” i zaprowadziła do Sujki (oni mieli ich tam „zrobić”). Nie chciałam się zgodzić. W pewnym momencie wysłałam niepostrzeżenie z kawiarni i ukryłam się w grocie przy klasztorze Franciszkanów. Za parę minut znalazł mnie tam Imach i złapał za gardło.

— Skończ ją — zachęcał Drezner, który właśnie nadbiegł.

— Wont! — Ryknął Imach. Gdy Drezner się oddalił Imach zaczął mnie bić po twarzy i ciągnąć w kierunku plotu klasztoru. Gdy opierałam się, wyciągnął pasek z mego płaszcza i zarzucił mi go na szyję. Przy płocie, nie przestając

walić po twarzy, wepchnął mnie do stojącej tam otwartej komórki i rzucił na słomę...

Nad ranem odszedł pierwszy. Postanowiłam się już z nimi nie spotykać, ale po kilku dniach przyszedł Drezner i przyniósł rozkaz „szefa”, bym stawiała się koło stadionu. Zaczęłam się ukrywać, odetchnęłam dopiero po aresztowaniu.

* * *

Wyroki zapadły. Sąd Powiatowy w Wieluniu skazał:

Wojciecha Imacha na łączną karę 5 lat więzienia i 3000 zł grzywny (z ew. zamianą na 150 dni aresztu) i utratę praw obywatelskich na lat 6.

Stanisława Dreznera na łączną karę 4 lat więzienia, 2500 zł grzywny, utratę praw na lat 4.

Mariana Lebkowskiego na łączną karę 4 lat, 2000 zł grzywny i utratę praw na lat 5.

Annę Idczak na 1 rok więzienia i 2000 zł grzywny.

Andrzeja Zielińskiego na łączną karę 1 rok więzienia.

Zenona Sujkę na 7 miesięcy więzienia.

Pozostałym i paserom Sąd wymierzył kary więzienia do 8 miesięcy i grzywny do 1000 zł. Wobec czystości orzekł także utratę praw.

W tym miejscu urywa się trop wieluńskiego gangu, ale nie kończy się życie. Jeśli gdziekolwiek są tacy, co marzą o podobnych wrznięciach i zyskach — daję im dobrą radę: przeczytajcie reportaż od początku. Nałwonym, ale niepozbawionym rozsądku proponuję za stanowiąc się nad całością — upartym i tępych pamiętać dobrze koniec.

1) „zagnać” — zadencjonować.
2) „zdryżić” — przestraszyć się (oba wyrażenia z leksykonu złodziejskiego).

JERZY PILICHOWSKI
zdjęcia autora.



Tu chowali zrabowane łupy — pokazuje staru arabarz uszkodzoną płytę grobowca



Na tym rogu zbierali się również. Gdyby doszły do skutku ich plany („wykończenie” Eli Ciapowej i dojeżdżającego milicjanta) przybyłoby klepsyd

Gdy politykę robi struś

KULTURA pod MIKROSKOPEM

NA POCZĄTEK — ŚWIETLICOWA NUDA

Niewielki lokal umeblowany krzesłami i stolikami. Kilka osób gra w szachy. W kacie dwóch młodych ludzi stuka w kulki bilardowe. Aha, jeszcze i telewizor Najczęściej popsuty, ale jest — ów niezbędny rekwizyt akcji zwanej często „upowszechnieniem kultury”. W tych szachach i w tym bilardzie kryje się rozpaczliwa monotonia. Proszę mnie źle nie zrozumieć — szachy to bardzo piękna gra. Wydaje mi się jednak że el ludzie już niezliczona ilość razy w ten sposób po prostu zabijali czas.

Jednostajność świetlicowej atmosfery stała się podobna jednostajności zwykłego dnia roboczego. Nie licznymi bywalcy wróca tu jutro, pojutrze, albo za kilka dni, aby zawsze jednakowo spędzić wieczór, uciec od monotoni w monotonię.

Podczas wizyty w jednej z wielu takich świetlic rozumielałam podłoże odruchowej niechęci, która budziła na dźwięk słowa „świetlica”. Nieodłącznym bowiem atrybutem tego oficjalnego centrum kultury na terenie zakładu pracy jest powszechność i nuda. Nie przeczę istnieniu wyjątków, nie z nich jednak buduje się ogólny obraz sytuacji. Swoją postawą na działalność świetlic opierałam dotychczas na obserwacjach. Teraz jednak już wiem, (choć wiedza to zaprawiona sceptycyzmem), że były to obserwacje człowieka naiwnego nie obeznanego z liczbą amatorskich zespołów chóralnych i nie doceniającego znaczenia wieczorów autorskich, organizowanych przez łódzkich literatów w zakładach pracy. Jest to opinia człowieka, który nie uświadamia sobie że aż hen, na Młynku, komitet blokowy utworzył zespół teatralny i wobec tego z kulturą nie jest u nas tak źle.

O tych, rzekomo „wiele mówiących” faktach dowiedziałam się dopiero w urzędzie sterującym kulturą w naszym mieście, a więc w Wydziale Kultury Prez. RN m. Łodzi. — arneta mnie bowiem chęć konfrontacji różnych stron zawiązków zwanych upowszechnieniem kultury. Każdy bowiem przejaw działalności o znaczeniu społecznym — dwa oblicza. Jedną to które może w każdej chwili stać się materiałem do repertażu, konkretnie bliski, uchwytny i niezawodny, drugie — to wyższa sfera syntez i uogólnień „na szczyblu” dzielnicowym, miejskim itd. Zapraagnęłam więc znając już nieco konkretów, spojrzeć na nie tym razem ze „szczybla” miejskiego.

BUDŻET A SZTUKA

Może to właśnie sentyment do konkretnego popchnął mnie do zainteresowania się najpierw stroną finansową kultury? Liczyby bowiem mówić prawdę, chociaż nie zawsze w sposób prosty i nieskomplikowany. W 1959 r. lwią część o-

gólnej sumy wydatków została przeznaczona na potrzeby teatrów (ok. 17,5 mln) Drugie miejsce zajęły instytucje muzyczne (ok. 11,5 mln) następnie szkolnictwo muzyczne, biblioteki i muzea. Pewną sumę otrzymały istniejące już domy kultury a więc LDK i MDK, i wreszcie reszta pieniędzy rozeszła się na obchody i konkursy, oraz na „inne akcje kultury i sztuki”. Te dwa ostatnie punkty są odpowiednikami akcji upowszechniania kultury i oznaczają sumę ponad 1 mln zł.

Ciekawych refleksji dostarcza porównanie wydatków w r. 1959 i planowanych na rok 1960 Otóż stosunkowo najbardziej wzrosły fundusze przeznaczone na „utrzymanie” teatrów (o kilkanaście mln), muzeów i instytucji muzycznych. Przewidziany wzrost wydatków na upowszechnienie kultury jest natomiast stosunkowo niewielki (ok. 500 tys. zł).

Wobec istnienia tak poważnej troski o teatry zainteresowała mnie ocena ich działalności w r. 59. Z punktu widzenia Wydziału Kultury, (ocena własną noszą na dnie serca i tu jej nie ujawnię).

Z „części opisowej” budżetu, dotyczącej spraw teatralno-finansowych dowiedziałam się, że frekwencja spada we wszystkich teatrach z wyjątkiem Teatru Jaracza, a najbardziej w Teatrze Nowym, i „7.15”. „Z wyjaśnień wynika” — głosi komentarz do tego zjawiska — „że powodem spadku frekwencji jest zmniejszona ilość filmów interesujących ogół społeczeństwa i telewizja (i)”. „Szczególnie należałoby się zająć Teatrem Nowym, gdyż zdaniem Wydziału powstała sytuacja tak w zakresie planowania jak i wykonania zatwierdzonego planu budzi poważne obawy, ponieważ teatr ten prowadzi politykę, która w praktyce nie zdaje egzaminu ze względu na swój eksperymentalny charakter. Podobne zastrzeżenia istnieją i w stosunku do Teatru „7.15” z uwagi na zmniejszoną frekwencję i wzrost kosztów”.

Z przytoczonych wyżej uwag nasuwa się chyba jeden logiczny wniosek: — działalność teatrów została przez Wydział Kultury poddana wnikliwej analizie i ewentualnie krytyce. Nawet jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że spadek frekwencji w teatrach nie jest zjawiskiem wyłącznie łódzkim to jednak wzrost ilości widzów w jednym z teatrów, a bardziej niż gdzie indziej zdecydowany spadek akurat w Nowym i „7.15” daje duży materiał do refleksji. Okazało się jednak, że znów grzeszę naiwnością. Nie, nie podobnego. Wydział Kultury teatrom niczego nie zarzuca, nie krytykuje i nie ocenia. To, co czytałam, nie było, jak się okazało, oficjalna opinia Wydziału, tylko luźnymi uwagami działu finansowego.

Oficjalnie działalność wszystkich teatrów została oceniona pozytywnie. Warto się zastanowić, kto oprócz Wydziału Kultury podpisałby się pod tą oceną? Widzowie? — ankiety nie przeprowadzono, ale z indywidualnych opinii wynika, że by-

łyby z tym poważne trudności. Krytycy? — podobno na prośbę Wydziału Kultury wypowiedzieli się na ten temat, ale niestety, wypowiedzi tych nie opublikowano. Wydaje mi się, że dział finansowy ocenił sytuację wprawdzie tylko w kategoriach budżetowych, ale raczej trzeźwo. Wydział Kultury natomiast widocznie jest oficjalnie zdania, że teatry robia, co mogą, a że niewiele mogą to już nie ich wina. Należy zatem biedne teatry zaopatrzyć w dodatkowe miliony przeciwko inwazji kina i telewizji.

Proponuję, — być może trochę złośliwie, aby część tych funduszy przeznaczyc na akcje odczytawo, zachęcająca do oglądania „Nieboskiej” i „Akropolis”.

Warto by jednak zastanowić się również nad tym, czy teatry łódzkie wykorzystują swoje własne, potencjalne możliwości. Na przykład sztuka, która przyciągać może mało wyrobionego widza, to przecież nie tylko erotyczna krotkożylka o banalnej treści, jak często się sądzi. Nie tylko treść przedstawienia może być wabikiem dla publiczności pozostającej praktycznie poza zasięgiem wpływów teatru. Przeciwny widz, który bywa w teatrze od przypadku do przypadku jest w ogromnej większości wypadków wrażliwy na grę aktorów i potrafi, dysponując niezawodną intuicją, dobrą grę odróżnić od marnej. Tej szansy zdobywania widzów na ogół nie bierze się pod uwagę.

W ubiegłym roku np. Teatr Powszechny wystawił „Jęgora Bułyczowa”. Przedstawienie przeszło niemal bez echa i nie było wcale reklamowane, a taki już u nas wytworzył się obyczaj, że jeśli jakiejś premierze nie wystawi się pochwalnej cenzurki, to ludzie boją się przestąpić próg teatru. A przecież „Jęgor Bułyczow” Feliksa Żukowskiego był jednym z najlepszych ról, jakie zdarzyło mi się oglądać w łódzkich teatrach. Nieliczna publiczność i to jak zdażyłam zauważyć, bynajmniej nie robiła wrażenia „bywalec” i snobistycznej (rasowy snob na Gorkiego nie pójdzicie) przyjmowała każde pojawienie się Bułyczowa na scenie wzrostem entuzjastycznie. Nie wątpię Feliks Żukowski należy do aktorów, którzy przy odpowiednim doborze

repertuaru potrafią zdobyć widza dla teatru. A może takich możliwości kryje się u nas więcej?

A eksperymentatorstwo Teatru Nowego? Czyż jego oceny nie powinna poprzedzić czwarta dyskusja? Czy nie przydałaby się próba określenia na czym właściwie polega ów eksperyment? Odwołanie się do szerszej opinii pozwoliłoby ocenić sytuację mniej może pozytywnie (i apodyktycznie) ale za to bardziej rzeczowo. W każdym bądź razie na pewno nie mamy powodu martwić się tym, że Teatr Narodowy nie przedko będzie zbudowany, gdyż sumy które trzeba będzie wydać na jego utrzymanie, szybko zapewne przerosną te które wydano na jego budowę.

Zmniejszenie się ilości widzów obserwujemy również w Operze i Operetce Opera — wiadomo — zawsze może się tłumaczyć brakiem odpowiedniego pomieszczenia. Co do Operetki — to przepraszam za subiektywizm — okazuje się, że łódzka publiczność jest jednak bardziej wybredna, niż się powszechnie przypuszcza. Dziwne natomiast się wydaje to, że Filharmonia osiagnęła zaplanowaną ilość słuchaczy. Przecież ty- — się mówi o braku kultury naucecznej w naszym mieście! Okazało się jednak po zbadaniu sprawy że ten zadowolający efekt jest wynikiem akcji abonamentowej przeprowadzonej przede wszystkim wśród młodzieży szkolnej. W tym wypadku wprawdzie plan został wykonany, ale czy to jest powód do stwierdzenia, że muzyka została upowszechniona i nie ma powodu do zastrzeżeń?

Powstał paradoks — Filharmonia jest jednym z niewielu przybytków sztuki, które osiagnęły planowaną ilość słuchaczy a z drugiej strony wiadomo, że z żadną odmianą kultury nie jest w naszym mieście tak źle, jak z kulturą muzyczną. Dlatego w tym wypadku sytuacja wymagałaby chyba ze strony Wydziału Kultury komentarza już nie tylko z punktu widzenia finansowego.

Co jednak Wydział Kultury zamierza przedsięwziąć, żeby przeciwdziałać spadkowi frekwencji w teatrach? Przede wszystkim — w dalszym ciągu rozpowszechniać akcje abonamentowe. Wydaje mi się, że oznacza to znowu przywiązanie zbyt dużej wagi do środków administracyjnych. Przecież tego jednak — Wydział przedstawia postulat wychowania widza od najmłodszych lat i w tym celu walczy o wprowadzenie bajek do repertuaru. Świetny pomysł, ale co z dorosłym widzem? Przeciież zaim wychowane na bajkach pokolenie dorosłe, trzeba będzie jeszcze nieraz przeprowadzać doroczny bilans zysków i strat.

d. c. n.

IRENA RUP

Moi rodzice

Moi rodzice są w niebie wieczorem zapalają gwiazdy w zimie mamusia trzepie chmurki wtedy leca piórka śniegu w lecie tatuś zawiesza złociste słonko w zenicie a żeby ciepło było na ziemi małym ludziom i małym wróbelkom.

Gdyby byli tu ze mną ojciec zapalałby ogień w szamotowym piecyku a mamusia trzepałaby kilimy

ale moi rodzice są w niebie.



MAREK WAWRZKIEWICZ

Początek

Najpierw jest krzyk skrzydlaty zawieszony w mrozie, W powietrzu lodowatym, i on jest jak płomień W dalekiej puszczy, fragment krajobrazu Spalonego w drzeniu, w widzeniu nieostrym.

Lub może być zmierzchanie. I może być posmak, Dojrzały kolor amfory greckiej i linie Bez przerwy w falowanie wtopione i korzeń Martwego krzewu, bulwa, sens, ucieczka sensu.

Albo gorączka szaleństwa. Iskry, wiatr, logika, Żelazny chorał Bacha, dźwięku dęb, dęb dźwięku, Pierzchanie światła w ciemność, twardy szorstki promień Kaluże drący szklane i prujący kola.

Albo nadejście w czerwcu, w owady co barwią, W miód muzyki leśnej, woń gnijących liści, W ich treść, w ich przemianę, w koniec i w początek, I znów krzyk, albo w wiersz odpadły od ręki.



BOLESŁAW DUDZIŃSKI

WŚRÓD KSIĄŻEK

Historyk literatury starożytności Grecji wybitny filolog angielski R. C. Jebb tak pisał o Saffonie — poetce niezrównanej, która żyła na pięknej wyspie Lesbos na VII w. przed n. e.: „Saffo była kobietą o zdumiewającym geniuszu artystycznym, subtelnie wrażliwa na harmonię form, kształtów i dźwięków której namętna energia znalazła naturalny wyraz w poezji i która wycisnęła w niej swoją cześć dla piękna (...) Saffo miała opuścić

Mitylenę ok. r. 596 przed n. e. i umrzeć na Sycylii. Opowieść o beznadziejnej miłości dla Faona i rzuceniu się w morze ze skały Leukatyńskiej jest prawdopodobnie bajką późniejszą”.

Tę to właśnie „bajkę” wzięła „na swój warsztat” Anna Kowalska (znaną czyni i wielbicielek antyku, czyniąc z niej uroczą opowieść o tragicznej ostatniej miłości Saffony do młodego i pięknego żeglarza — Faona

W tym okresie Saffo była już bardzo młodą kobietą, była już raczej tylko miejscem spotkania dawnych wspomnień o życiu bujnym bogatym i słonecznym. Ale choć przekwitła już i zgasła bezpowrotnie czar urody Saffony, serce jej pozostało młode — i stało to uczucie beznadziejne a nie nasycone dla młodego Faona. Fini! hi storii z góry był wiadomy.

Snując swą opowieść, w której znajomość antycznych realiów oraz intuicja pisarska raz po raz przekonująco dają znać o sobie, Anna Kowalska odpoetyzowała może nieco Saffonę, ale za to „uczciwiecyła” ją i uczyniła nam jej postać bliższą. Poza tym, autorka sprostowała w pewnej mierze nasze potoczne wyobrażenia o sferze miłosnych przeżyć wiel-

kiej poeteszy, kładąc w jej usta słowa:

„Mile są dziewczęta, ale nie ma nic wspanialszego od młodego mężczyzny”. Ze te słowa istotnie mogły być wypowiedziane, o tym świadczą zarówno zawarte w młodym wieku małżeństwo Saffony, jak i ta spóźniona schyłkowa miłość do Faona.

Przeskoczywszy w czasie „drobiazg” — coś około 2500 lat, przejdę do odnotowania dwóch interesujących zbiorów opowiadań współczesnych nowelistów. Pierwszy z tych tomów — to „Dzień bohatera” J. J. Szczepańskiego (zawierający osiem opowiadań. W przedmowie





Od 1934 roku, z przerwą wojenną, Kraków obchodził swoje dni. Wprawdzie już wiele miast wpadło na ten sam pomysł, lecz chyba żadne uroczystości organizowane w ramach „Dni” nie mają tego znaczenia i nie są tak celebrowane, jak właśnie w Krakowie.

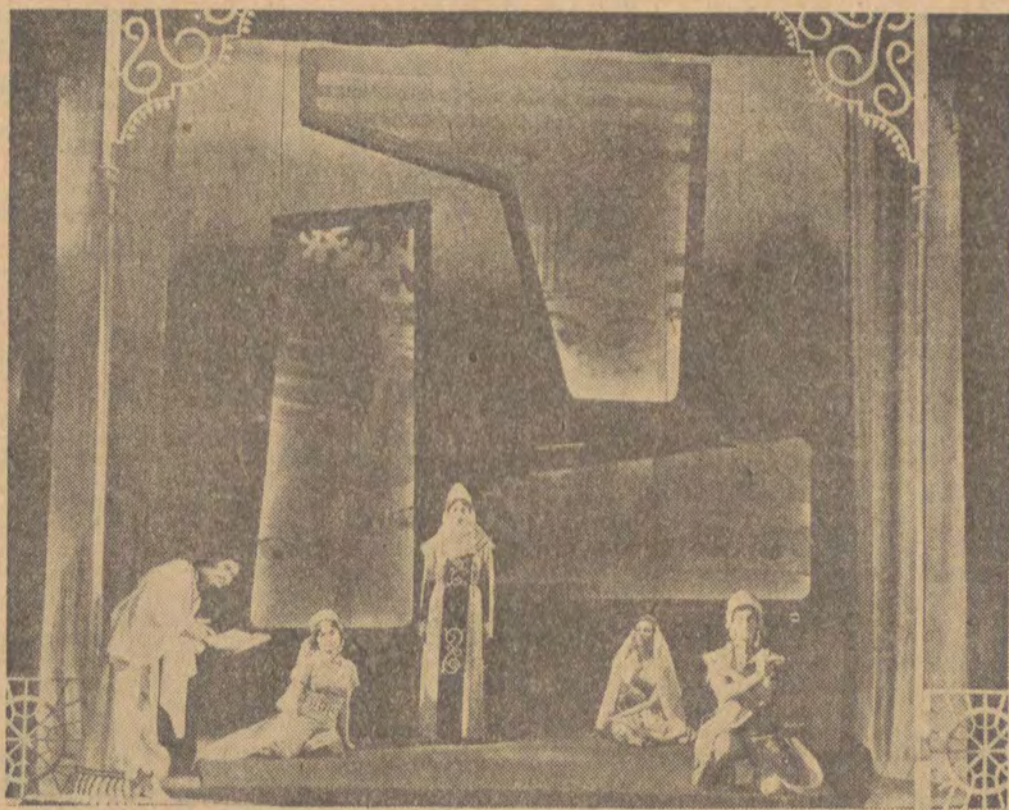
Zanim Herold na Rynku Krakowskim ogłosił ludowi swój memoriał, zezwalający na zabawy wszelkie, zbierał się sztab ludzi, by opracować precyzyjnie przebieg zabaw i uroczystości. Wystarczy czegoś zaniedbać, albo zapomnieć, a już przywiązani do tradycji krakowiaczy są niezadowoleni.

Taki właśnie powód do niezadowolenia dał w tym roku pierwszy dzień inauguracyjny „Dni Krakowa”. A było to tak:

Rynek ciasno wypełniony ludźmi, z niecierpliwością wyczekującymi wjazdu Herolda. Wreszcie przedzierając się przez zbitny tłum, z kilkuminutowym opóźnieniem, wjechał na zbieżną klaczy zwiastun „Dni Krakowa” ubrany we wspaniałe szaty wykonane według projektu Wyspiańskiego, żywo oganiając się od dzieci i wzrostków, którzy pociągali go za rękawy. Daremnie ogłądał się Herold za halabardnikami, którzy zawsze w tej ceremonii brali udział i teraz w opresji bardzo by mu pomogli. Niestety, nie wiedział o tym, że ze względu na oszczędnościowych pozycję „halabardnicy” i „cukier dla konia” zostały skreślone.

Skutki tej decyzji okazały się opłakane. W chwili, gdy Herold siedząc na koniu miał odczytać memoriał, pojawili się fotoreporterzy, aby uwiecznić ten uroczysty moment i takiego narobili halasu fleszami i pstrykanem, że zmęczona szkapą nagle zaczęła wierzeć. Wierzeła tak, że Herold ledwie się na niej zdołał utrzymać. Toteż o czytaniu z namaszczeniem memoriału nie mogło być mowy. Czar powagi przysł. Minęło parę ładnych chwil, nim ktoś podsunął klaczy cukierka i w ten sposób zdołał ulagodzić rozeźloną zwierzę.

Ale ten, w gruncie rzeczy, mały, incydent wystarczył, by roznielowany w trady-



Miejski Teatr Rapsodyczny. „Wieża w tygrysięj skórze” Szota Rustaweli, tłumacz. Jerzy Zagórski, Reż. Mieczysław Kotlarczyk, scenogr. Marian Garlicki, oprac. muz. Anatol Zarubin. Scena zbiorowa. Foto W. Plewiński

cyjach poseł Drobner ocenił inaugurację „Dni Krakowa”, jako zwykły skandal.

A więc historia się powtarza. Największe nieszczęście ludzkości zdarza się z powodu drobnych, które ktoś, gdzieś zapomniał załatwić.

Być w Krakowie i nie zwiedzić Wawelu, to tyle, co być w Rzymie i nie zobaczyć Papieża. Lecz zwiedzanie Wawelu o tej porze, to ze wszech miar ryzyko. Na dziedzińcu tłok, bez przesady parę tysięcy ludzi, jakby za chwilę miał się tu odbyć wiec. Jedni zajadają bułki z kiełbasą, inni targują się z fotografami o cenę pocztówek i zdjęć wywoływanych na poczekaniu. Najwięcej jest amatorów zwiedzania dzwonu Zygmunta i grobów naszych znakomitych przodków.

Przewodnik, który oprowadza po tej części zabytków wawelskich narzeka, że jest przemęczony, i że mu w krzyżu strzyka. W podziemiach bowiem, gdzie znajdują się groby, jest zimno i wilgotno. Tak. To nie żarty. Dla jednych przyjemność, a dla drugich ciężka praca.

Koniecznym chcieli prze-

cisnąć się do salki, w której przechowuje się Szczerbiec. Sądziłem, że uda mi się nawiazać tu rozmowy z Polakami zamieszkałymi w Ameryce, którzy gremialnie nawiedzili Kraków i właśnie w tej salkie było ich pełno. Niestety, okazało się to niemożliwe. Łatwiej przejść wielbiadłowemu przez ucho igielne, niż przecisnąć się przez ciżbę do Szczerbca. Każdego śmiałka, który usiłował „wtrącić” się bez kolejki, pani kustosz karcita spojrzaniem godnym Anny Jagiellonki z portretu wiszącego w sali tronowej.

W sumie pobyt na Wawelu tym razem nie zaliczam do udanych. Rekompensatę tego dnia uzyskałem wieczorem w teatrze na przedstawieniu „Skowronka” Jean Anouilha w wykonaniu francuskiego Teatru „Vieux Colombier”. Wielu aktorów biorących udział w sztuce jest naprawdę wybitnych. Lecz Suzanne Flon odzwierciedla postać Joanny d'Arcy pozostając na długo w pamięci. Nawet rozkapryszona aktorka krakowska była jej grą oczarowana i dawała temu wyraz w rozmowie w foyer teatru. Publiczność obdarzyła zespół francuski go-

racami oklaskami i kwiatami.

Na marginesie występów Teatru „Vieux Co'ombier” pragnę wspomnieć o pewnym zdarzeniu, które mogło wpłynąć na obniżenie frekwencji na przedstawieniu. Otóż paru bliżej nie zidentyfikowanych osobników rozpuszczając przed przedstawieniem pogłoski, że rzekomo teatr jest słaby i nie ma nic ciekawego do pokazania. Widziałem, jak słabsze indywidualności uległy tej opinii i na krótko przed przedstawieniem usiłowały odsprzedać bilety, które, nawiasem mówiąc, nie były takie tanie. W rezultacie tu i ówdzie na widowni dały się zauważyć puste miejsca.

A propos pustych miejsc w teatrze. Nie jest to tylko zjawisko warszawskie czy łódzkie. Także w Krakowie nawet na premierze można zobaczyć sporo foteli nie zajętych. Podobnie rzecz się miała w Teatrze Kameralnym na premierze sztuki Kazimierza Barnasia „Apelacja Villona”. Dodajmy, sztuki interesującej i niezłe zagranie.

Co skłoniło Kazimierza Barnasia do napisania sztu-

■ O tym jak szkapa wierzeła (co nie było w programie) ■ O ciżbie do Szczerbca ■ O występach: „Vieux Colombier”, „Apelacji Villona” i „Dylu Sowizdrzala”



Foto W. Nowak

ki o Villonie, francuskim poecie, który urodził się w roku 1431? Odpowiedź na to pytanie daje autor:

„Villon był moim ulubionym poetą już w czasach gimnazjalnych. Zawsze byłem poruszony kontrastem między jego wspaniałą poezją a życiem rzeźmieszką i włóczęgi. Poezje Villona bardzo osobiste, a przy tym rewolucyjne, krążyły za życia twórcy w odpisach i tradycji ustnej, zdobywając mu olbrzymią popularność. Równocześnie Villon, którego niejednokrotnie kojarzono z jego dziełem, wzbudzał pogardę jako człowiek, toteż szpada musiał walczyć o godność imienia poety.

Wiadomości o losach Villona urywają się w roku 1463, w którym poeta skazany został na wygnanie z Paryża. Moją sztuką chciałem odpowiedzieć na pytanie, jak i dlaczego zginął Villon. Rekonstruując sytuację historyczną, światopoglądową, ustrojową i obyczajową jego czasów, starałem się przedstawić poetę jako osobowość przerażającą współczesnych”.

Na tym nie kończę jeszcze mojej wędrowki po scenach krakowskich. Byłem również w Teatrze Rapsodycznym. Zdaje się, że jest to jedyna z nielicznych scen, która odprawiła za pierwsze półrocze dochód wynoszący około trzystu tysięcy złotych do kasy państwowej. Powiada, że to zasługę może odnotować na swym koncie Dyrektor Administracyjny Teatru, p. Ryszard Orzechowski. Na scenie odbywają się nieustannie próby „Odysei” przeznaczonej na Festiwal Teatrów Polskiej Południowej. Odsmaża się przedstawienia sprzed roku, jak zresztą niemal wszystkie sztuki, które na tym Festiwalu będą reprezentowane. Ktoś nie pozabawiony humoru powiedział, że jest to Festiwal dramatów, które dawno zeszyły ze sceny.

Ale oprócz „Odysei” trwa-

ją tu także przygotowania do premiery „Sowizdrzala” według książki Karola de Costera. Po tym przedstawieniu dużo sobie obiecuje dyrektor artystyczny p. Mieczysław Kotlarczyk. Wybrał on zreczenie z książki Costera te partie, w których Dyl Sowizdrzał walczy o wolność ludu flamandzkiego, jak również i te, w których wesoly Dyl przebywa w miłych lupanarach Flandrii. Słowem — dla każdego coś miłego. Dodajmy szczerze, że sztuka ma sporo interesujących ról, które z pewnością zadowolą także aktorów.

Po tej wędrowce po krakowskich teatrach warto wejść gdzieś na pół czarnej. A jest w czym wybierać, bo w Krakowie kawiarni jest dużo: „Literacka”, „Piwnica” na Rynku, albo po prostu „Stara Jama Michalikowa”.

Gdy już ulokujecie się tu na którymś z monstrualnej wielkości fotelu lub na kanapie, wypijcie tyk kawy, a oczy skierujcie na ścienne malowidła, wtedy człowieka natchną wspomnienia. Ież to się naczytało o tej słynnej „Jamie”, o znakomitym Boy'u, który tutaj siedział i innych wybitnych postaciach życia artystycznego Krakowa! Radzę wtedy zaprosić na pół czarnej, tak jak mnie się to udało, jednego z nielicznych już chyba znawców historii „Jam Michalika” — pana Jerzego Dobrzyckiego — dyrektora Muzeum Historycznych w Krakowie. Być może, że jeszcze raz powtórzę wam bogatą historię tej kawiarni, jaką mnie opowiedział.

Choć zegar wawelski wybił już jedenastą, w „Jamie Michalikowej” wciąż tłoczno. Nikt wcześniej nie opuścił kawiarni, aż zostanie dyskretnie wyproszony: — „Jedenasta już minęła, panie radco, dobrej nocy, dobranoc”.

odgłosy str. 7

do poprzedniego zbioru twórcy utworów, zatytułowanego „Buty” Szczepański pisał: „Moi bohaterowie nie są pozytywni, ich poczynania nie są krzepiące, interesuje mnie ludzka słabość, po granicze moralnego upadku, rezygnacji, oportunisty...” Wówczas autor zademonstrował te swoje upodobania bardzo dobitnie w opowiadaniu tytułowym, które — ukazując „podszewkę” bytu partyzanckiego — miało dowiedzieć, że ta egzystencja nie zawsze jaśniała blaskiem cnót i zalet moralnych. W opowiadaniu tytułowym nowego zbioru autor ukazuje jednoznacznie dzieje mitycznego „bohatera” Alkinoja którego najwspanialszym wyczynem stała się kradzież starego kulawego barana, uprowadzonego przemocą ze stada jakiegoś niedołężnego pas-

terza. „Bohaterstwo” bardziej niż problematyczne, zię gdy ten czyn — mówi autor — „ożyje w pieśni” pokracznego giermka Alkinoja-Koironosa, przetrworzy się w heroicznym rapsod, przysparzając „bohaterowi” splendoru i sławy.

Już choćby tylko dla tego, jednego opowiadania warto przeczytać nowy tom J. J. Szczepańskiego, gdzie zresztą znajdziemy i inne godne uwagi pozycje jak np. „Knapka przy torze”, „Izaak” lub „Okazja”.

Utalentowany nowelista Kornel Filipowicz jest gorliwym kolekcjonerem ciekawych ścieżek psychologicznych i niecodziennych zbiegów okoliczności. Na dobro autora zapisać trzeba, że mimo tego rodzaju poszukiwań umie być

wiernym życiowemu prawdopodobieństwu. Co się tyczy formy, jest ona bardzo oszczędna, można by rzec nawet: ascetyczna, w doborze środków artystycznych wyrazu; zaś treść swych krótkich utworów czerpie Filipowicz z tego kręgu zdarzeń i zjawisk, o których zwykło się mówić: „nie szczególnego”.

Jeżeli jednak nowe opowiadania Filipowicza z tomu „Ciemność i światło”³⁾ czytamy z zainteresowaniem, to niewątpliwie dzięki jego umiejętności operowania kontrastami i konfliktami — natury zarówno jednostkowej, indywidualnej, jak i zbiorowej, społecznej: ogarniającej szerokie dziedziny bliższej lub dalszej współczesności (np. w opowiadaniach okupacyjnych:

„Pylek w oku” i „Niech nie wie lewica”).

Wśród dziesięciu opowiadań zbioru „Ciemność i światło” są też, jak to zwykle w takich razach bywa, pozycje słabsze, będące raczej tylko jakimś nowelistycznym szkicem (np. „Adela” lub „Zabić jelenia!”). Na ogół jednak nowe opowiadania Filipowicza należą niewątpliwie do ciekawszych nowości wydawniczych z zakresu małych form literackich.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

1) Anna Kowalska, „Safa”, Warszawa, PIW, str. 128; cena zł 8.
2) Jan Józef Szczepański, „Dzień bohatera”, Warszawa, „Czytelnik”, str. 140; cena zł 10.
3) Kornel Filipowicz, „Ciemność i światło”, Kraków, „Wydawnictwo Literackie”, str. 160, cena zł 12.



Stąd odjeżdżają w Bejrucie „Taxi-service” do biblijnych miast

władniejszy podstępnie flotą Tyru, aby po przeciwnej stronie Morza Śródziemnego zalczyć Kartaginę. Prócz tego moja wyobraźnię zafascynował inny fakt z historii tego miasta. Otóż kiedy wybuchło tam swego czasu wielkie powstanie niewolników, wszyscy wolni, czyli panowie, zostali wybiti. Nie ocalał nikt — z jednym wyjątkiem. Ów wyjątek zwał się Stratton. I, rzecz ciekawa, następnym posunięciem niewolników, którzy uzyskali teraz władzę nad miastem, był wybit bór króla. Królem wybrano... Strattona. Fakt historyczny dający wiele do myślenia.

Spotkałem się z księdzem na wielkim polu wyko-pańsk. Oprowadzał nas przez wodnik, któremu towarzyszyła biała owca, zachowująca się jak pies, nie odstępowała ani na krok. Skubała sobie rosnącą pomiędzy fundamentami rzymskich, greckich i fenickich domów trawę, a jeśli przewodnik ruszył się, choć o jeden krok, natychmiast krótkim klusem podbiegała za nim. Wykepaliska w Tyrze są bardzo piękne. Odkopano właściwie całe miasto rzymskie: z akweduktami główną ulicą łączącymi dwa porty, wyżłobionymi śladami kół wozów, którym kupcy wozili swoje towary, z mozaikami zamiast chodników, kolumnami i tak dalej. Pod tym, rzymskim miastem odkryto także drugie, fenickie. Fenickie domy były budowane z gorzej ciosanego, bardziej prymitywnego kamienia, były mniejsze i robią wrażenie biedniejszych. A jednak w tych domach żyli najbogatsi w ówczesnym świecie ludzie! Nad tymi dwoma starymi miastami zachowało się jeszcze i trzecie: arabskie. To ostatnie liczące już „tylko” kilkaset lat — najbiedniejsze i najbardziej prymitywne. Tutaj można się najłatwiej przekonać, jak wzdrymym pojęciem jest postęp. W porównaniu ze wspaniałymi, skanalizowanymi marmurowymi domami rzymskimi, następne tysiąclacie było niewątpliwym barbarzyństwem.

Wędrowaliśmy z francuskim księdzem po tyrskich za-bytkach przez pół dnia. Co chwila starałem się zwrócić uwagę mego towarzysza na dzisiejszy Tyr i dzisiejszych potomków Fenicjan. Na brzegu, mniej więcej w tym samym miejscu, z którego wyruszyła ze swą flotą Dydona na założenie Kartaginy, jest teraz kawiarenka. W godzinach upału siedzą w niej współcześni Fenicjanie, piją kawę i coca-cole, grają w domino i w karty. Są sakramencko leniwi i wcale im się nie dziwi. W miasteczku są małe domki, ciasne uliczki. Każdy, kto ma głowę na karku stara się przenieść do Bejrutu. Tu zostają tylko najleniwi, najmniej przedsiębiorczy, albo tacy, którzy przywykli do jałowego życia nie mają o-choty na zmiany. Miasteczko jest koloru żółtego, ma jeden meczet i jeden kościół. Nie ma w nim ruchu, panuje cisza, oczywiście na tyle, na ile może panować cisza

w arabskich miastach. To znaczy — bardzo głośna cisza. Ze starego, świetnego portu też nie zostało śladu. Dziś jest tu tylko port ryb-ny, zamulony. Wyruszą stąd łodzie nie na założenie Kartaginy, lecz na połów ryb i krabów, albo — co znacznie korzystniejsze — na kolejną wyprawę z kon-trabandą.

Jakie szczęście, że biblijny król Hiram tego nie widzi! Gdyby przypadkiem wstał i zobaczył co zostało z jego Tyru — umarłoby z pewnością po raz drugi.

Ale ksiądz nie zwracał uwagi na współczesny Tyr. Z trudem tylko namówił me go na wypicie butelki coki. Miał przed oczyma cudowną wyspioną Ziemię Świętą. Nie nie mogło mu zakłócić jej obrazu. Zaczepiał prze-chodniów i wygłaszał do nich dłuższe przemówienia po arabsku, znał bowiem ten język, podobnie jak i hebraj

rzy sprawdzili nasze dowo-dy bacznie wpatrując się nam w oczy. Prawda! Przecież niedaleko stąd, po drugiej stronie zatoki, nad którą leży Tyr, biegnie granica Libańsko-izraelska...

— Teraz mijamy wille bo-gaczy-emigrantów, którzy do robili się fortun w Brazylii, lub w Afryce i dożywają swoich dni w ojczyźnie. Zwłaszcza jedna z tych willi jest całkiem niezwykła: zupełnie okrągła, przykryta wielkim dachem, na podobieństwo grzyba.

Nagle zza drzew pomarań-czowych wyskakują olbrzymie, srebrne garnki. Zbliżamy się do Saïdy. Przed sobą mamy wielkie zbiorniki naftowe. Tutaj dochodzi do morza słynny „Tapline”, czyli: Transarabian Pipeline. Amie rykański rurociąg naftowy doprowadzający naftę z A-rabii Saudyjskiej do morza Śródziemnego poprzez cały półwysep arabski. Tu pod-

stron oblewa go morze, z czwartej ma fosę i wąską, kamienną groblę łączącą go z lądem. Do dziś sterczą z wody potężne wieże, budowane jak zawsze w tej ziemi ze szczytków poprzednich cywilizacji. W jego murach tkwią granitowe kolumny użyte jako wzmocnienie; nie pionowo, lecz poziomo. Ułożono je, jakby wielkie, długie i okrągłe cegły. Skąd gra-nit w Libanie? Ba... Nie ma go tu nigdzie. Te wszystkie wielkie kolumny zostały sprowadzone z Egiptu. Wyobraźcie sobie: wielotonowe, granitowe kolumny zostały przywiezione na kru-chych statkach żaglowych, lub też poruszanych wiosłami przez niewolników!

Ciężkie fundamenty zam-ku obronione są grubą warstwą zielonego mchu i wod-dorostów. Nad wszystkim unosi się morsko-gnijący za-pach, typowy dla starych bu-dowl oblewanych przez morskie fale. Tak samo pachnie Wenecją. Kiedy przyjdzie duży wiatr bryzygi fal pryskają aż na dziedzińce. W murach zamku tkwią żelazne kule. Zostały one wystrzelone z dział angielskich okrętów przed blisko pół-tora wiekiem. Tu wszystko zachowuje się lepiej i zais-tne ma się wrażenie, że krzy-żowcy opuścili zamek dopiero wczoraj. Ba Sydon, to przecież Morze Śródziem-ne, a tu czas liczy się inaczej.

Zupełnie inaczej niż w Eu-ropie. Mój ksiądz jest teraz cżywiony. Z zapalem studiu-je przewodnik. Opowiada o swych zajęciach we Francji i zachwyca się myślą o tym, ile też będzie teraz miał do opowiadania. Zapadł już zmierzch. W mroku wieże zamku drugiej baronii wy-gładają jeszcze jaśniejsze i bardziej groźnie.

Wsiadamy do „tax-servi-ce” jadąc do Bejrutu. Ksiądz dalej opowiada o sobie. Pyta tylko, czy mam rod-zinę i kiedy wracam do Eu-ropy. Nie pyta nawet skąd jestem.

Wspaniałą zsoną dojeżdża-my do Bejrutu. Przejeżdża-my koło lotniska — z pew-nością jednego z najpiękniej-szych lotnisk na świecie, po-łożonego nad samym mor-zem, tuż koło gór. Samoloty podchodzące do lądowania lecą tu nad samą plażą, tak nisko, że można z góry roz-poznać kolor kostiumów kąpielowych.

Kiedy dojeżdżamy do cen-trum miasta ksiądz wreszcie zadaje mi pytanie, na które czekałem od dawna:

— A pan z jakiego kraju?

— Z Polski — mówię.

Ksiądz wygląda na zasko-żonego.

— To przecież kraj komu-nistyczny?

Potwierdzam.

— Tak miło mi się jechało — mówi ksiądz z niepew-nością w głosie. Proponuję mu, abyśmy wstąpili coś zjeść. Ale ksiądz bardzo się spieszy, żałuje, że czas mu nie pozwala. Żegna się szyb-ko. Odchodzi.

Będzie miał jeszcze jedną przygodę w Ziemi Świętej do opowiadania. A może nie będzie opowiadać?

KORESPONDENCJA WŁASNA Z LIBANU

ski. Teraz mógł tę swoją znajomość wypróbować praktycznie. Napawało go to wielką radością.

Dlatego organizacyjną stroną wyprawy musiałem się zająć ja sam. Doprowadziłem księdza do tak zwa-nej taksówki „service”. Polega to na tym, że jeśli ko-gos nie stać na wynajęcie so-bie taksówki na własny użytek (a nas nie było na to stać, o nie!) — to wówczas zgłasza się na stację taksów-kową, powiada dokąd chce jechać i zaznacza: „service!” Zarządzający stacją sadza wówczas gościa na krzesel-ku i zaczyna przechadzać się po ulicy wołając głośno: „Yallah Saidal” albo „Yal-lach Beirut!” — zależnie od tego dokąd gość chce jechać. Po kilkunastu minutach, a nieraz szybciej, ma już zgro-madzony komplet pasażerów. Ładuje ich wtedy do wielkiej taksówki — sie-dmio, ośmio, nieraz dziesię-cio osobowej — i jada! Je-dzie się równie szybko jak indywidualną taksówką, mo-że nieco mniej wygodnie, ale za to pięć razy taniej!

Taką to właśnie taksówką ruszyliśmy teraz do Saïdy, biblijnego Sydonu. Droga była bardzo piękna a szofer jechał jak szatan. Arabscy szoferzy zwykle tak jeżdżą. Wiraże brał swym ogrom-nym krążownikiem w tem-pie dziewięćdziesięciu na go-dzinę. Ksiądz przymykał oczy, lecz był nadal bardzo zadowolony. Jechaliśmy wzdłuż gajów pomarańczo-wych, których małe, szaro-zielone drzewka ugiwały się pod ciężarem złotych kul.

Ubrane na czarno kobiety zrywały je do wielkich ko-szów. Gdzieśgdyż kule zmieniały kolor na słonecz-ny — wówczas jechaliśmy wzdłuż gajów cytrynowych. A jeszcze były bananowe i trzcina cukrowa. W pewnej chwili zostaliśmy nagłe za-trzymani przez żołnierzy w hełmach, z automatami, któ-

chodzą prosto z morza tan-kowe i nie zawiązając do por-tu, którego nie ma — ładują naftę na redzie. Zawsze na horyzoncie widać kilka tych naftowych smoków. Taków-ka zwalnia. Tu trzeba uważać, nawet jeśli się jest a-rabskim kierowcą, który — jak wiadomo — znajduje się pod specjalną opieką Alla-ha. Faktu, że ci samochodowi szaleniocy pozostają przy życiu nie można wyjaś-nić inaczej, jak tylko opieką boską... Ale tu trzeba uważać, ponieważ na powierzchni jezdnii nieraz znajduje się ropa naftowa. Połrafi ona wprawić samochód w taki poślizg, że nawet sam Al-laha jest bezradny.

Z daleka już widać wspaniały zamek krzyżowców, zbudowany na morzu. Nie tyle zresztą na morzu, co na stromej skale u wejścia do portu. Ksiądz wpatruje się w ten zamek ze czcią i bez słowa. Ja natomiast zwracam mu uwagę na prze-dziwne widok na szosie: po środku jezdnii leży głowa wolu. Sama głowa z wielkimi rogami. Kierowca wymija ją zresztą i już jeste-my w kolejnym mieście biblijnym.

Saïda jest większym miastem od Tyru. Jest też od niego starsza. O Saïdzie, a właściwie o Sydonie wspo-minał Mojżesz. Homer pisał o Sydenyckach, jako o lud-ziach: „Umiejętnych we wszystkim”. Sydon stwo-rzył niegdyś prawdziwe im-perium śródziemnomorskie. Jego losy były jednak zmien-ne — padał ofiarą licznych podbojów: egipskich, filis-tyńskich i innych. Teraz znany jest w świecie głów-nie jako ujście „Tapline’u”.

Przez pewien czas Sydon był ostoją krzyżowców, sie-dział drugiej, spośród czterech baronii królestwa Je-rozolimy. Z tego czasu po-chodzi zamek. Zamek jest wspaniały do dziś. Z trzech

KAZIMIERZ DZIEWAŃOWSKI

Zdłec'a autora

W olbrzymich oszklonych salonach pysznia się „Cadil-laci”. Zewsząd dochodzą dźwięki najnowszych, włoskich przeboi granych przez „szafy z muzyką”. Nowoczesność, luksus, pokusy. W ma-łych knajpkach położonych wysoko w górach tańczą pa-ry, z płyt dobywa się głos Domenico Modugno, przy-cmione światła, intymny na-strój, bardzo swobodne ma-niery.

Ale mój ksiądz nie widział niczego z tych rzeczy. Dla niego nie jest to święta zie-mia. Jest trzydzieści pięć sto-pni upału, ksiądz męczy się w czarnej sutannie, odpiął tylko jeden guzik u kołnierza. Dla niego wszystko ma niewystawiony urok, nawet upał, bo przecież upał też wchodzi w skład obrazu uro-bionego przez lata rozmyś-lań.

Spotkałem go w Tyrze. Tak jest w tym samym Ty-rze, o którym wspomina bi-blia. W biblii jest mowa o tyrskim królu Hiramie, któ-ry posyłał salomonowi drze-wo cedrowe i zręcznych rzemieślników do budowy świą-tylni Pana, a także wszystko znających żeglarzy, którzy powiedli salomonowe sługi do dalekiego Ophiru po zło-to i drogie kamienie. Ksiądz przyjechał tu, aby na włas-ne oczy zobaczyć to miejsce, o którym tyle razy mówił swoim uczniom. Ksiądz jest profesorem w jednym z se-minariów duchownych we Francji.

Ja przyjechałem tu dla in-nych przyczyn. To znaczy, że chciałem zobaczyć mia-sto, o którym z takim sza-cunkiem mówi się w biblii. Ale chciałem je zobaczyć także i dlatego, że stąd właś-nie wyruszyła Dydona za-

Z WIZYTĄ U KRÓLA HIRAMA



Zebrawka w Saidie



Tędy przepływa kontrabanda



Baalbeck — rzymskie miasto ruin. Sklep ze „starożytnościami”



WIESŁAW JAZDZYŃSKI OKOLICA starszego KOLEGI

Po drugiej stronie wzgorza
dynek Liceum im. St. Zeromskiego, wystawiony w pierw-
szej połowie XVIII wieku. W ścianie zewnętrznej znaj-
duje się tablica poświęcona pamięci jednego z ongi uczniów.

Wstrząsające odkrycie Tracza i wzruszające pamiętniki Tramencourta

Jest rok 1938. Prowincjonalne miasto wojewódzkie posiada gimnazjum, do którego uczęszczało wiele znakomitości, m. in. Stefan Zeromski i ówczesny premier Sławoj Składkowski.

Panowie licealiści z tego właśnie gimnazjum podzieliли się, zależnie od światopoglądu na trzy wielkie obozy: demokratów, arystokratów i sportowców.

Dwóch wybitnych arystokratów — Książę i Buczaccki odbyło krwawy pojedynek na szable o kobiecie, w wyniku którego Buczaccki został publicznie ośmieszony.

Za namową Buczacckiego plutonowy Kwiatek, który również pisał nieważną do młodzieży, arestuje głównych bohaterów groteskowego otwarcia... szaleńcu. „Tak efektownej akcji nie notowały od lat kroniki policyjne...” Jednakże plany Buczacckiego spaliły na panewce, ponieważ z opresji wyratowali wszystkich Lutewicki, syn wicewojewody.

W czasie zawodów narciarskich Buczaccki dopuszcza się nowej intrygi. Dzięki „współpracy” najpiękniejszego uczennicy w mieście Porajówny, ekipa humanistów zostaje pozbawiona i miejsca.

W związku z odkryciem roli Buczacckiego i Porajówny w zawodach narciarskich kolekcja organizują na Buczacckiego pułapkę.

— Nie może być! — Książę zaczęło świtać w głowie.

— Może być, może, niesz wywiad ustala fakty w sposób nie budzący żadnych wątpliwości. No i co powiecie o tym?

— Nie staraj się zrozumieć wszystkiego, powiedział Demokryt, bo wszystko stanie ci się niezrozumiałe — Chorwat otworzył srebrną papierosnicę. Brali papierosy rękami drżącymi z podniecenia. Cóż za niezwykłe zbłęgi okoliczności! Dlaczego spoikał akurat Porajównę, dlaczego polamana Porajówna tak szybko poskakała się i tańczyła. Co miał z tym wspólnego Buczaccki?

Sprawa Racibora, niezwykła jak on sam, nabrała cech dziwnej i ponurej tajemniczości. Gdzieś na samym jej dnie czaił się ich wspólny wróg, młody dzielnik Buczaccki. A Racibor, a jego miłość? Dla kobiety, dla marnego puchu, zaprzepaścił szanse największego zwycięstwa w dziejach szkoły.

Tracz sięgnął do kieszeni. Uczestnicy zebrania zobaczyli w jego ręce elegancką, różową kopertę.

— Ten fant, co go trzymam w ręce prawej zawięra wyjaśnienie całej zagadki. Nasz wywiad przechwycał ten tu oto list na międzyszkolnej poczcie!

Poczta międzyszkolna, nie opatentowany wynalazek Racibora, stanowiła jeden z najbardziej chyba błyszczących sukcesów Książę Parzy i okolic, kamień węgielny jego sławy. Organizacja poczty zdumiewała pomysłem wością i prostotą. Było w całym mieście trzech tylko urzędników pocztowych i trzech listonoszy z wyższym wykształceniem. Urzędnicy — trzej woźni z gimnazjum męskiego i dwóch żeńskich — pracowali chętnie za pensję, wypłacaną w naturze papierosami. Natomiast listonosze a byli nimi profesorowie, którzy uczyli w trzech gimnazjach, pełnili swoje obowiązki bezpłatnie. Woźni przyjmowali listy u siebie, w domu, z rąk nadawców, przeważnie zakochanych po uszy, następnie, już po otrzymaniu honorarium — pięć papierosów za jedną przesyłkę, wsuwały dyskretnie list w kieszeń pocztyliona, który wybierał się na lekcję do odpowiedniego gimnazjum. Tam odbierał list inny urzędnik nieskomplikowanej poczty, i za tę samą cenę, ustaloną taryfa, doręczał spragnionej adresatce. W ten sposób kieszenie pał profesorów czekały łzami, pęczniały od westchnień, dyszały wprost doznana miłością. Niepałacy i biedni, a bardzo zakochani korzystali ze znacznych ulg. Racibor wstyłko dokładnie przemysłał. Z ulg korzystali również uczniowie i uczennice przesyłający sobie pomoce naukowe, nazywane w skrócie „ściągawkami”.

Tracz podał kopertę Miazdze. List był adresowany do Krystyny Porajówny. Wśród grobowej ciszy otworzył Miazga kopertę.

— Tak jest, panowie — powiedział cicho — pismo Buczacckiego, znamy je przecież. Poczytamy sobie, co?

Nikt mu nie odpowiadał.

— „Droga Krystyno, Kochanie Ty życia mojego! Chciałbym Ci osobiście podziękować za to, co uczyniłaś dla mnie w niedzielę, chociaż nie wszystko się udało. Czekam na Ciebie, o pani serca mego, we wtorek, o godzinie 18-tej, przy kamieniu Biruty. Przykaj! E. B.”

— List się nie rumieni, powiedział C'cero — Chorwatowi uwiązł głos w gardle, coż za bydlak, coż za czworonóg!

A więc stało się. Buczaccki raz jeszcze rzucił im wyzwanie. Jeżeli dotąd któryś z nich miał Raciborowi za złe, że zlekceważył honor szkoły, to teraz otaczała nieszczęślika szczerą przyjaźnią. Buczaccki podstawił mu Porajównę. Jak teraz pomóc koleźce?

— Co zrobimy? Ja mam jakies niedobre przecucie, jak wtedy, przy pojedynku — Wszystkim się zdawało, że Justyn ciężko westchnął, a to wdychała Słabcia, przyklejona do dziurki od klucza.

— List się ładnie zaklei i wysię, zdąży jeszcze, „Markus” ma w poniedziałek lacinę na pensji, to zanieś — Tracz mówiąc to zdawał sobie sprawę z małego znaczenia tego zabiegu. Czy w ten sposób uleczy Racibora z miłości?

— Ciężka sprawa — Miazga opuścił linianą głowę — on zupełnie zgłupiał z tej miłości. Nic mu się nie wytumaczy, sam byłem kiedyś zakochany...

Socjalista wstał.

— Mówi mi Szopen, że takie uczucie nazywa się... nazywa... jak on to powiedział? Aha, amor sceleratus habendi, czyli zbrodnica chęć posiadania w miłości. Jak wiecie, kobiety za nim szaleją, ale on żadnej nie miał... to rozczarowanie może go zabić.

— Ulecz go panie ad maiorem dei gloriam — u-

styszeli przez drzwi szept Słabci.

Siedem głów pracowało bezskutecznie, na stole stygła niewypita herbatka. Wreszcie Socjalista, który chodził po pokoju, zatrzymał się nagle, uderzył otwartą dłonią w czoło i krzyknął:

— Mam pomysł! Zalatwimy rzecz jak prawdziwi mężczyźni!

Skupili się w kącie za piecem i szeptał gorączkowo. Słabcia daremnie wciskała ucho w dziurkę od klucza.

— Końska kuracja... — We wtorek będzie zdrów... — Dzisiejsza młodzież — mruzczała niezadowolona, nie się od takich człowiek nie dowle.

Racibor zmienił się w 30 ostatnich dniach nie do poznania. Jego wewnętrzny świat, zamknięty na cztery sousty, wypełniał bez reszty miłość i nadzieja. W oczach kolegów wyglądał na człowieka nieszczęśliwego. Jakżeż to — bohater tyśia i jednej przygody, wesoly jak szczygiel, chodzi teraz poważny, zamysłony, jakiś inny duch w tym samym ciele. Gdzie arcykawalarz, gdzie autor wspaniałych listów miłosnych, odczytywanych w pełnej aświecie podczas pauz? Żalność brała patrzeć na jego obcą twarz i niewidzące oczy.

Wszystko to jednak były tylko pozory, w gruncie rzeczy Racibor uważał się za najszcześliwszego człowieka. Lekcje przygotowywał normalnie, jak zawsze pomagał kolegom, ku wielkiej radości rodziców chętnie przebywał w domu.

Popołudnia i wieczory spędzał teraz w swoim pokoju, zajęty porządkowaniem całego dotychczasowego życia. Skończyły się dni, może i wesole, barwne, ale pozbawione głębszego sensu. Teraz będzie inaczej, coś w jego życiu nowego i nieznanego.

Chodził po pokoju i zdejmował fotografie artystek filmowych ze ścian. Loretta Yung, Olivia de Havilland, Gingera Rogers — słoneczna bohaterka jego ulubionych filmów tanecznych, dziewczęca Annabela, smutka Daniela Darieux — wszystkie powędrowały do pieca. Jakież człowiek był głupi — myślał pałac kolejno eksponaty zebrane w „muzeum miłości”. Spłonęły stopy fotografii, kwiatki zbierane przez Marysię, Inge, czy Bożenę i zasuszone w notesie. Serię zdjęć erotycznych ocalał specjalnie dla Tracza. To dobry kolega, chociaż trochę ordynarny.

Zatrzymał się dłużej nad pekatym albumem. Przez kilka lat zbierał namiętne znaczki pocztowe. Te Co-

starłki, Hondurasy, Guatemale, sprawdzane skrupulatnie pod lupą, przyklejane ręką drżącą z emocji, geografia bliska, serdeczna, świat wielobarwny, chowany co wieczór do szuflady... nie, nie można niszczyć albumu. Czy porzucić, musi zawsze znaczyć tyle, co niszczyć?

Spalił jednak stare kalendaryki. Zaznaczał w nich swoje stosunki z dziewczętami przy pomocy magicznych znaków. Czerwona kropka — pocałunek, błękitny krzyżyk — więcej niż dziesięć pocałunków, błękitny krzyżyk w czerwonym kółku — niezliczone pocałunki, trójkąt błękitny — całowanie rozmaitych części ciała, trójkąt czerwony z błękitną kropką po środku — akt płciowy...

Spalił również listy, dziesiątki złotych, błękitnych i różowych kopert. Tego na razie nie będzie, będzie coś nowego, innego, oby każdy rok był inny. Wahał się natom'ast, czytając pamiętnik. Zniszczyć, czy pozostawić jedynego powiernika jego prawdziwych myśli i uczynków? Nikt mu nie zna — powtarzał sobie dzie siatkę razy z satysfakcją — nikt mu nie będzie znał.

Do późnej nocy czytał pamiętnik.

— 15. X. „Mongol” urządził pierwszy w tym roku pogrom z chemii. Też ma wymagania! Odróżnić mu kwas siarkowy od siarkowego, zaraz, na poczekaniu. Zimak udawał silny ból głowy, Florek poddał się bez bicia, sam poprosił grzecznie o dwoje.

17. X. To jednak prawda co mówią. Ewa sama wchodzi w spódnie. Rozumiem w parku, rozumiem na stadionie, ale żeby nawet pod mostem, przy głównej ulicy?

11. XI. Dyrek mówił przez godzinę o wielkości Polski. Dziwni z nas skazańcy, skazani na wiekową wielkość. Wcieliśmy z Książcem z „Kina” fotkę aktora, który grał Zydę — wiecznego tułacza. Miazga przyczepił go Zimakowi do pleców. Cała szkoła zdychała ze śmiechu, jak nasz świętoszek szeł deklamować „Rzadko na moich wargach”. Zimak jest kretyn, glizda, pierwoliński, szuja podniesiona do potęgi entej, turkuć-podjadek, kabotyń, donosiciel, żmija, lizus i wypierdek. Szukałem po ulicach Krystyny. Nigdzie jej nie było. A może jej naprawdę nie ma? Może ja sobie ją wymyśliłem?

15. XI. Noc u Seweryny. Jej rodzice wyjechali na chrzest do brata. Kochani rodzice, można powiedzieć. Ja zostałem podobno na noc u Buczacckich.

Godzina 21 min. 31 — kolacja na dwoje osób. Sewe-

ryna mówi, że mi ufa bezgranicznie.

Godzina 22 min. 14 — słuchamy muzyki radiowej i tańczymy. Seweryna rozkleja się. Ona chodzi wcześnie spać, nie wytrzymuje tak długo.

Godzina 23 min. 5 — na mój rozkaz rozbiera się do naga, a ja nie mogę, no nie mogę i już. Seweryna płacze, powiedziałem jej, że nie jestem zdolny do miłości. Nie jestem zdolny, ja kocham tylko takie światy, jakie tworzę sobie sam. Po co mnie całowałaś, po co mnie oglądałaś, po co po co!

Godzina 24 — Seweryna zamyka się w sypialni i płacze. Mówię jej przez drzwi po co się ogląda i całuje kobiety. Nie otwiera.

Godzina 24 min. 18 — śpię sobie spokojnie na kanapie. Człowiek ma niby wszystko, a to jest co innego. Zaw sze co innego.

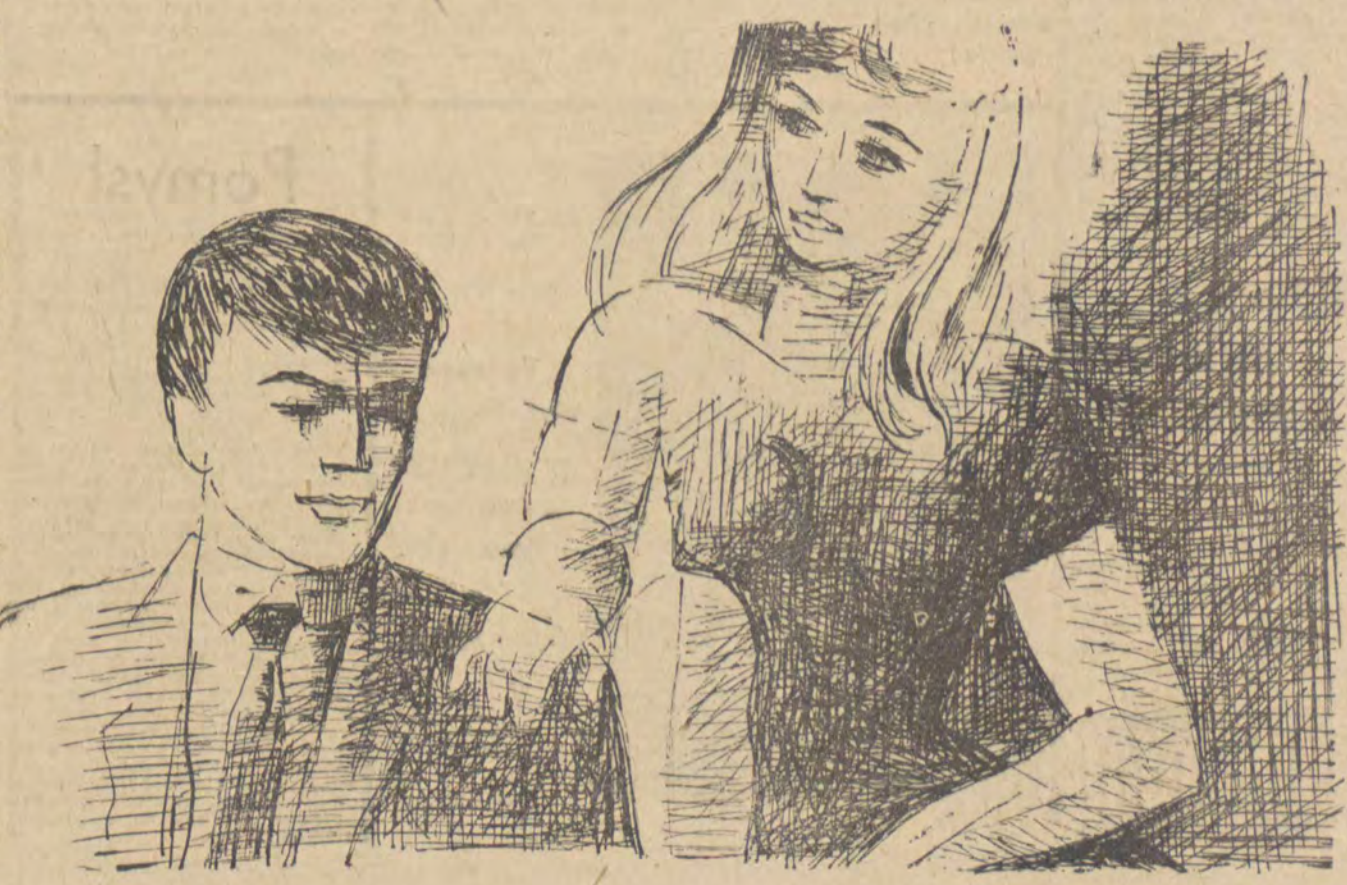
Godzina 5 min. 2 — zjeżdżam po długim chodniku na ulicę. Nie trzeba w takich chwilach budzić dozorcę. Dozorca na ogół nie chce pomóc. Seweryna śmieje się. Wygląda nawet ładnie w tym oknie i w złym szlafroku. Rzucił mi różę, róża jest sztuczna. Życie też. Chodzę po mieście, zbieram sobie liście do zielnika.

23. XI. Dlaczego wszyscy dookoła udają kogoś innego? Swistak — bohatera, Miazga — potomka zbójców świętokrzyskich i kolegę Zeromskiego, Książę — Skrzetuskiego, Socjalista — Marksa z Engelsem, Kurzwalden — Anglika z Kołomyi, Dzik — Leśmiana. Kto na tym świecie poza mą jedyną jest normalny? Odniosłem ciężką Krystynę. Milczeliśmy przez całą drogę. To było ładne i wymowne. Czuję, że ją biorę...

Odłożył pamiętnik do akt zamykających dawne życie. Niech zostanie. Krystyna da znak, może to będzie jeszcze nie teraz, może na wiosnę.

Wyobrażał sobie dokładnie ich spotkanie. Wieczór, nastrojowy, księżyc nad stawem, w starym parku. Siadał sobie na kamieniu Biruty, na kamieniu zakochanych i będą patrzyli na sennie łabędzie. Przyjemnie jest czekać u siebie, w ciepłym pokoju na taką chwilę. Za oknem mróz, zawieja.

Odłożył jeszcze do szuflady pamiętnik z czasów harcerskich — fiński nóż, kompas, mapnik, błękitną chustkę ze żbikiem, wyszytym złotą nicią. Trzeba się rozstać godnie z przeszłością. Jak szybko dojrzeła człowiek! Jeszcze wczoraj flirty, randki, a już jutro wielka miłość, może małżeństwo.



d. c. n.

Z różnych beczek

O premierze, a raczej o prapremierze w najmniejszym (a zarazem najmłodszym) teatryku telewizyjnym „A ku ku...” piszemy na innym miejscu, tu zaś chcielibyśmy się podzielić z czytelnikami kilkoma ciekawostkami. I tak:

„Kuglarz w koronie”

W ubiegłą niedzielę studio łódzkie nadało spektakl Teatru Lalek „Arlekin” pt. „Kuglarz w koronie” (mamy nadzieję, że nikt nie pomylił go z „Kuglarzami”, których gra Teatr Nowy). Z przyczyn, o których wielokrotnie już pisaliśmy, kreśliły te słowa jeszcze przed telewizyjną realizacją „Kuglarza w koronie” — mieliśmy jednak doniesienia z prób, wiemy że spektakl był starannie opracowywany i specjalnie przereżyserowany, tak że mamy nadzieję, iż widowisko się udało.

Przy okazji drobna sensacyjka — Zofia Nawrocka, autorka „Kuglarza w koronie”, a także i inne sztuki będącej w repertuarze „Arlekina”, mianowicie „Niezwykłego wynalazku profesora Orzeszka” — mieszka w Paryżu...

Laureaci

Jeżeli już jesteśmy przy lalkach. Starsi telewizyjni pamiętają zapewne audycję nadawaną swego czasu przez studio łódzkie — zwata się ona „Telesfor i Balbina”, a bohaterami jej były właśnie laleczki. Audycja nie była najbardziej udana i po pewnym czasie zniknęła z programu — chcieliśmy wszelako donieść, że aktorzy prowadzący Telesfora i Balbinę — Teresa Sawicka i Zdzisław Owsik na II Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Lalkowych uzyskali wysokie nagrody.

Właśnie oni! Mała rzecz, a cieszy.

„Barwy życia” nie poszły

Swego czasu donosiliśmy o umieszczeniu w planach telewizji widowiska opracowanego przez Stefana Dowgirda pt. „Barwy życia”. Praca nad telewizyjną wersją widowiska była już daleko posunięta, gdy realizatorzy podjęli doprawdy męską decyzję — ze względów czysto artystycznych (niezmożność oddania wszystkich walorów widowiska na małym ekranie) audycja została skreślona z programu.

Jest to — o ile nam wiadomo — pierwszy wypadek tego rodzaju w dziejach telewizji łódzkiej i musimy przyznać, że bardzo się nam to śmiało posunięcie podoba. Potworków artystycznych na pewno nie potrzebujemy, a dzieło Stefana Dowgirda będziemy przecież mogli obejrzeć przy jakiejś okazji na estradzie w pełnej jego urodzie.

„Wiosna, wiosna” w interwizji?

Ogólnie wysoko oceniona audycja rozrywkowa „Wiosna, wiosna...” (pisaliśmy i my o niej, kwestionując jedynie niezbyt chyba szczęśliwy tytuł) zostanie prawdopodobnie na jesień w interwizji.

W tym wypadku tytuł zostałby prawdopodobnie zmieniony i brzmiałby „Jesień, jesień...”.

A KU KU!

To najmniejszy teatrzyk telewizyjny łódzkiej A KU KU!

To scenka satyryczna. Ma ona zaspokajać aktualne i wciąż rosnące zapotrzebowanie widzów na satyrę i humor.

A KU KU! Dało właśnie swój pierwszy spektakl w programie ogólnopolskim który trwał jakieś 13 minut.



Włodzimierz Skoczylas zdjęcie utrzymane w tonacji pogrzebowej



A KU KU!

(Niestety) nie zaprezentowało widzom w kraju oryginalnej twórczości łódzkich satyryków (których podobno jest tu niemało), ale potraktowało w sposób odgrywczy starożytne teksty Grodzieńskiej i Galczyńskiej etc.

A KU KU!

Reżyserował Kazimierz Oracz. Przeważnie do tekstu podszedł on ze śmiertelną powagą, toteż przegadane jak wiadomo, utwory Grodzieńskiej, nasi mili aktorzy recytowali tak jakby to był normalny „Hamlet”.

A KU KU!

Spektakl miał więc takie tempo jak szanujący się pogrzyb i klasy z orkiestrą MPK.

A KU KU!

Ozdobił wszakże niezawodny Lutkiewicz śliczną piosenką samobójcy (robiona na tych jego „wileńskich” przyspiewkach) i Skoczylas. Śliczną była Mazurkiewicz.

A KU KU!

Na razie na pewno nie zrobiło to furory, ale kiedyś, kto wie...

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Telewizji zawsze łatwiej odwołać jakąś pozycję programu i nawet za to nie przeprosić. A my musimy przeprosić za niewyświetlenie kolejnego filmu z serii Disneyland, który zapowiadaliśmy na godzinę 19.10 w ubiegłą niedzielę. Był mecz. Cóż, podobno sportowców jest więcej...

W tym tygodniu polecamy obejrzeć następujące audycje.

Czwartek 30 czerwca. Godz. 17.45 dla wszystkich fotoamatorów, którzy chcą wziąć udział w konkursie fotograficznym o Łódź audycja „Czy Łódź jest fotogeniczna”, 18.35 „TELECHO”, PKF wyświetlona będzie o 20.45 i zaraz potem Teatr Sensacji „KOBRA” zaprezentuje widowisko R. C. Sherriffa „Powrót o siódmej”.

Piątek 1 lipca. „Uroki Polihymni” godz. 18.55. Maga-



Ponadto radzimy pójść się wykąpać

zyn filmowy „Kłaps” z Łodzi w programie ogólnopolskim nadany zostanie o godz. 19.25. Film fabularny prod. radzieckiej „Na drogach wojny” — godz. 20.25.

Sobota 2 lipca. Godz. 17.25 „Miś z okienka” i o godzinie 19.30 operetka Paula Burkharda „Fajerwerk” (transmisja z Państwowej Operetki w Warszawie).

Niedziela 3 lipca. Godz. 14.30 Łódź wyświetli film fabularny o niewiadomym tytule. Godz. 16.30 estrada poe-

tycka Tadeusza Różewicza „W środku życia”, PKF godz. 17.46. Program rozrywkowy „Nowe piosenki” nada Warszawa o godz. 17.50 i zaraz potem... piosenki z drżącą z niepokoju ręką, „KAWALKA DA PIOSENEK” FILM Z SERII DISNEYLAND. (godz. 18.15) Żeby tylko znów nie było jakiegoś meczu! Miły teleturniej „Kółko i krzyżyk” nadany będzie o 19.05. Potem, po serwisach informacyjnych, Warszawa na godz. 20.30 zapowiada program rozrywkowy, o którym szczegółów nie mamy.

Pomysł

Najpoczytniejsza łódzka gazeta — „Express Ilustrowany” wpadła ostatnio na pomysł, który wydaje się nam być nie tylko rewelacyjny, ale i godny zastosowania, na przykład, w telewizji. I tak w ubiegły czwartek na kolumnie ogłoszeniowej „Expressu” pojawiła się rubryka pod tytułem „Tu Express-owcy koncertują”. Czytamy w niej, co następuje:

„Dziś „dedykujemy” mazurę z opery „Halka” Montuszi”, po czym następuje długa litania nazwisk — kto i komu tego mazura przesła.

O ile dobrze rozumiemy, obdarowany, może następnie tego mazura odśpiewać, odtańczyć, a nawet odegrać na pianinie (o ile oczywiście takowy posiada) i to najzupełniej nieodpłatnie.

Czy więc telewizja nie mogłaby zrobić czegoś podobnego (kosztu własne minimalne, zyski szalony)? Spikerka mówi: „Państwo, ci i ci przesłajcie panu temu a temu film Bergmana „Tam gdzie rośnie poziomki”. Po czym zamiast malodusznie wyświetlić film, trasa spikerka dodaje półgębkiem: „Film jest do obejrzenia w kinie „Polonia”. Bilety na 1 miejsce kosztują 15 zł”.

Tadeusz Woźniakowski — popularny piosenkarz (również i telewizyjny)



Amatorzy z paletą

„Dobrym pomysłem” nazwaliśmy w swoim czasie konkurs plastyków-amatorów zorganizowany przez Muzeum Sztuki i redakcję „Dziennika Łódzkiego”. Właśnie przed kilkoma dniami zbieraliśmy żniwo owego „dobrego pomysłu”.

Powodzenie konkursu — olbrzymie. Półtora tysiąca nadesłanych prac to nie fraszka. Prac zasługujących na uwagę było na pewno więcej niż 6, a tyle właśnie nagród przyznało jury. Nic zatem dziwnego że organizatorzy zmuszeni zostali do przyznania dodatkowo ponad 40 wyróżnień.



Goście w Łodzi

W minionym tygodniu znakomita skrzypaczka gościła w Łodzi (występy w Filharmonii) znana i

Dobre pomysły

Dobry — a nawet znakomity — pomysł miały tym razem dwie instytucje: Studia Filmów Lalkowych i Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. Właśnie bowiem w Klubie możemy oglądać lalki i projekty plastyczne do filmów, wyprodukowanych przez tuszyńskie studio. Reklama jest znakomita i na pewno zachęci niejednego do obejrzenia filmów, zrealizowanych przez łódzkich reżyserów i plastyków.

Reprodukujemy obok fotos z filmu „Manguar”. Reżyserem filmu był Edward Sturlis, autorem scenariusza Jarosław Marek Rymkiewicz. Inne lalki z tego filmu trzeba obejrzeć w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.



Muzeum brzydoty

Od kilku tygodni spotykamy na szybach prywatnych łódzkich sklepów cudaczne napisy reklamowe w barwach czerwono-żółto-fioletowych. Trudno zresztą z pełną odpowiedzialnością owe kolory nazwać. Faktem jest jednak, że na ich widok odczuwamy coś w rodzaju uporczywego bólu zębów.

Nie mogliśmy niestety

dotrzeć do „producenta” tych wykonywanych bez najmniejszego pojęcia choćby o szlachetnej sztuce kaligrafii — twórców reklamy. Przyrzekamy jednak, że już niebawem podamy do publicznej wiadomości personalia owego „artysty”, który zapaskudził Łódź dziełami rodem z odpustu w Parczewie.

Henryk Czyż odchodzi

Ceniony dyrygent, kierownik artystyczny łódzkiej Filharmonii po trzy i półletniej kadencji odchodzi, by poświęcić się pracy kompozytorskiej.

Mamy nadzieję jednak niebawem usłyszeć o dyr. Czyży z innych kontynten-tów, bowiem jak mówią

w mieście” czekają go ponoć koncerty zagraniczne, między innymi w obu Amerykach.

„Odgłosy” życzą dyr. Czyżowi sukcesów zarówno w pracy kompozytorskiej jak i w czasie wojaz-ży zagranicznych.

Warto obejrzeć

Tym razem możemy zaprezentować Czytelnikom dwie naprawdę ciekawe wystawy. Pierwszą ogólnopolską wystawą fotografii, eksponowaną jest w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza. Każdy kto choć trochę interesuje się sprawami „malowania słońcem”, ekspozycje w parku Sienkiewicza winien co rychlej odwiedzić. Koniecznie!

Ranga drugiej wystawy jest nieco niższa. Chodzi tu bowiem o wystawę prac uczniów Liceum Sztuk Plastycznych (Próchnika

43). Ekspozycje jednak polecamy. Warto bowiem wiedzieć jakich to na przyszłość artystów szykuje nam łaskawy los.



IZYGMONT fijas do narodu czytającego „Odgłosy“ Lunapark

Nasze
orędzie
do narodu
czytającego
„Odgłosy“

Najmniejsze i najciekawsze pismo świata, czyli jak wyplaszac mole z odzieży systemem gospodarczym, tudzież jak sporządza się tanie potrzaski żeby złowić mężów na dobrym stanowisku; jako też, co zrobić, żeby nowoczesne małżeństwa nie psuły się od spodu; jak badać kwaśność zup, podawanych w zakładach zbiorowego spożycia, jak również, co trzeba uczynić, żeby nogi przypominające swym kształtem literę X, zamieniać na nóżki, przypominające literę O, a także, jak zapobiegać trzeszczeniu w ustach zbyt wypieczonego pieczywa, dlaczego kura gdać, gołębnie nie pieją, krowy nie znoszą jaj; co zrobić, jeśli ktoś nastąpi ci na nogę w tramwaju; co należy sądzić o „Ty i ja“, jak przeczytać interesujący magazyn ilustrowany, nie posiadając grosza przy duszy; jak bawić cudze małżonki w czasie wyjazdów ich mężów na wczasy.

Odpowiedzi na skargi i zażalenia tylko w dni feralne lat przestępnych, zamienianie problemów wątpliwych na niewątpliwe zgodnie ze wskazaniem kodeksu postępowania administracyjnego, ale a la minute! przed wejściem w życie rzeczowego kodeksu, ściganie z urzędu urzędów, co sądzić o nowych elektrycznych maszynkach do golenia; i tysiące, tysiące kłopotających Cię zagadnień załatwić możesz prywatnie tylko w organie „Lunapark“ gratis i bez potrzeby ściągania na siebie gniewu swych chlebodawców. Powtarzamy: „Lunapark“ nie mylić z powieścią Tadeusza Kwiatkowskiego pod tym samym tytułem! Jedyny organ ilustrowany w miarę możliwości i potrzeby, a otrzymywany bezpłatnie po wpłaceniu prenumeraty „Odgłosów“.

Odpowiedzi na listy

SZANOWNY PANIE ALFREDZIE BOMBAŁO!

W liście przystanę do naszej redakcji skarżysz się Pan na bulion w kostkach, przypominający Ci smakiem i konsystencją to, czego żaden pożywny i smaczny bulion nie powinien przypominać... W 45-letnią rocznicę poznania swej czcigodnej małżonki Andulki, a czwartą wstąpienia z nią w związek małżeński, trzecią urodzin się uroczego bombaska Krzysztofka pragniesz uraczyć gości filiżanką smacznego bulionu a nie wiesz, jak przyrządza się dobry bulion.

Jesteś gotów ozłocić każdego, kto poda Ci rękę w krytycznym momencie, a równocześnie jesteś pełen nadziei, bo wiesz, że istnieją jeszcze ludzie, co znają sposoby sporządzania tego praktycznego płynu. Istnieją, masz słusność. Podajemy Ci ten sposób.

JAK PRZYRZĄDZA SIĘ TĘGI BULION?

Dobrze, że swą prośbę o podanie przepisu na dobry bulion skierowałeś do nas na kilka tygodni przed wzmiankową uroczystością, gdyż dobry bulion uzyskać można conajmniej w ciągu siedmiu dni jego bezustannego przyrządzania, uprzedzamy jednak, iż z bulionu będą naci, jeśli do tej pory nie wystarałeś się o conajmniej furkę wysokokalorycznego węgla do ogrzewania Twego trzonu grzejnego, w tym wypadku pieca kuchennego, względnie odpowiedniego ekwiwalentu w postaci kilkunastu furek niskokalorycznego węgla brunatnego, albo też odpowiednich mas stomy...
Jeśli nie dysponujesz piecem kuchennym, dobrze byłoby przebudować piecyk gazowy na piec wielorodzinny o kilkunastu paleniskach, ale nie zapomnij zasilić go osobnymi rurami w celu doprowadzenia zwiększonych ilości gazu ziemnego wprost z Górnośląska, do pieca żeby nie narażać paleniska na nierozwidlaną obniżką temperatury płomienia

gazowego spowodowaną zbyt kapryśnym niekiedy rozdziałem gazu przez centralę miejscową, lub osłabieniem ciśnienia w rurach sieci miejskiej z przyczyn niewiadomego pochodzenia; względnie, w razie nieziszczenia się Twych marzeń o posiadaniu wzmiankowanej ilości paliwa stałego, lub nie uzyskaniu pozwolenia na posiadanie własnych rur dodatkowych, dobrze też byłoby, gdybyś postarał się o połączenie swego trzonu grzejnego z magazynem pary najbliższej elektrociepłowni, względnie doprowadzenie kilku lokomotyw pod Twój dom i połączenie ich z Twym piecem parowym, jeśli uda Ci się na czas przebudować piec węglowy na ogrzewany parą; nie zapomnij jednak wystarać się za wczasu o pozwolenie posiadania prywatnej bocznicy kolejowej do swobodnego wekslowania dostarczających Ci pary lokomotyw, jako też uzyskanie zgody na posiadanie odpowiedniej, zwrotnie ułatwiających szybki przelot tych kołowych zbiornik grzejnych.

Jeśli dysponujesz odpowiednimi zasobami gotówki wymi (któż zabiera się do gotowania bulionu bez nich?), PKP po wyłożeniu przez Ciebie odpowiedniego wadium gotowe Ci wypozyczyć kilka gotowych bocznic wraz z całym sprzętem, oporzadzeniem i personelem po odpowiednio niższej cenie.

Wszelkie reklamacje prosimy kierować do działu skarg i zażeń naszego wydawnictwa.

A TERAZ AD REM! CZYLI DO RZECZY, CZCIGODNY PANIE BOMBAŁO!

Co powinienes w pierw uczynić, aby uteskniony bulion nareszcie znalazł się na Twym stole i by biesiadnicy nie odchodzili odeń z uczuciem obrzydzenia, wyrządzając się ujemnie o Twych zdolnościach kulinarnych, o Twojej małżonce Andulce i maleńkim Krzysztofku? W jaki sposób wybić sek z

LARRY

Odkąd istnieje telewizja — śmieją się z niej karykaturzyści. Najpierw wykpiwa no mała sprawność techniczną odbioru. Później — poziom audycji (zwłaszcza w USA, gdzie cały program podporządkowywany jest reklamom). Dziś — całe ostrze drwiny skierowane jest w stronę... telewizorów. Niepokoi i śmieczy jednocześnie humorystów — tzw. „obied telewizyjny“, już niemal dosłowne narkotyzowanie się telewizją, spędzanie przed aparatem całych popołudni i wieczorów, beżmyślnie, bez względu na temat audycji.

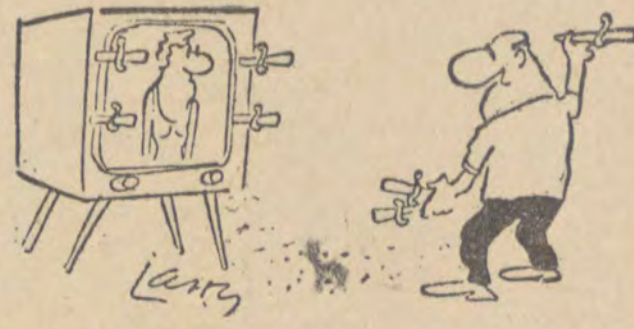
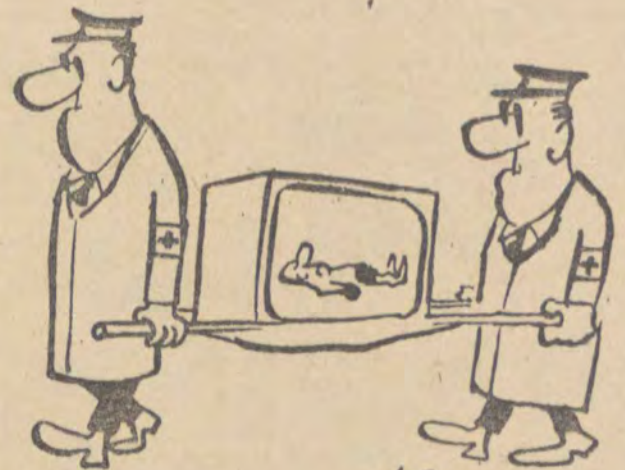
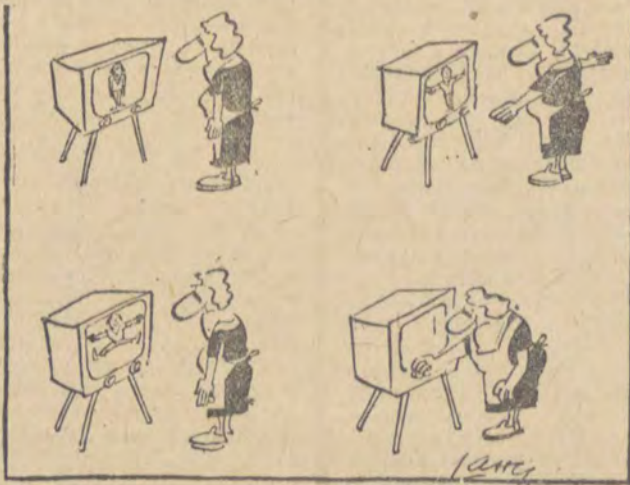
Penicwaz w skali powszechnej trzecie stadium telewizyjnej choroby nam (chwilowo jeszcze) nie grozi — tym szczerzej możemy się pośmiać z żartów brytyjskiego rysownika, Larry'ego.

Telewizja stała się dla tego karykaturzysty niemal obsesją, poświęca jej prawie połowę swoich żartów. A że jest rysownikiem ogromnie płodnym, publikuje co tydzień kilkanaście dowcipów w pismach brytyjskich, holenderskich, belgijskich — więc łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo musi go ten problem uwierać...

Larry lubi też rysować śluby, bokserów i rzeźbiarzy. Ponadto prowadzi w „Punchu“ stałą rubrykę p. n. Maż w fartuchu, gdzie przedstawia zabawne perypetie „nowoczesnego“ męża, który pomaga żonie w gospodarstwie.

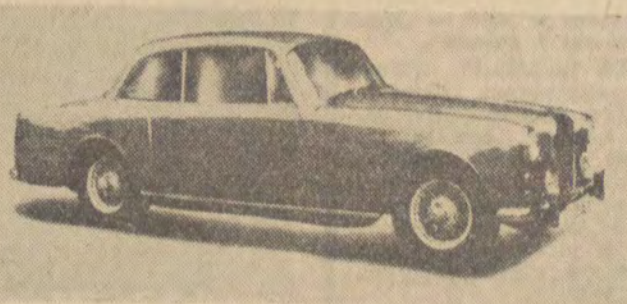
Swoją drogą — ciekawe, czy Larry ma w domu telewizor?

(JERT)



A ALVIS (Wielka Brytania)

znana na Zachodzie firma produkująca samochody pojazdy wojskowe oraz silniki litnicze; producent: Alvis Ltd., Holyhead Road, Coventry, England



Alvis 3 Litre TD 21 (Park Ward)

wóz średniej klasy z 3 litrowym silnikiem i nadwoziem firmy Park Ward Ltd.

Silnik 6 cyl. rzędowy o poj. skok. 2993 cm³ i mocy 118 KM (DIN) przy 4500 obr./min. Stosunek sprężania 8:1. Skrzynia biegów 4 przekładniowa, II, III i IV synchron. (produkowany również z automatyczną skrzynią biegów),

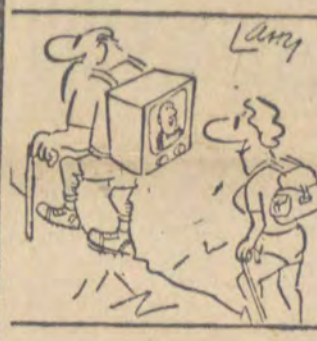
Twojej głowy, wzrosły w Twoją mózgowicę na tyle, byś mógł osiągnąć, Twoją nieuleczalną ideę fikcyjnej bulionowej przyrządzanych sposobem domowym?

O co winienes się postarać, by zdobyć wreszcie na wszelkie nieprzewidziane przyłącza, święta zwykłe i duże, oraz wielkie uroczystości rodzinne, rocznice wielkich bitew, także w zbliżającą się rocznicę bitwy pod Grunwaldem, by zdobyć surowce do sporządzenia interesującego nas wyciągu mięsnego?

Bardzo dobrze, jeśli za wczasu pomyślisz o skupie nówek cieliczych i wotowych jako też o główkach cieliczych, czyli o bużkach, wyrażając się pieszczotliwie,

gdyż te szczegóły tuszy rzeźnej, jakkolwiek osiągalne, wymagają przecież niezwykłej wprawy i pasji kolekcjonerskiej, żeby je zgromadzić w niezbędnej do sporządzenia odpowiedniego gęstego bulionu ilości... Dlatego sprawdź rozmiary swej lodówki już dzisiaj, żebyś nie stanął przed koniecznością wyrzucenia psujących się nówek, nim wejdziesz w posiadanie główki. I b odwrotnie, względnie — potrzeba nabycia drugiej lodówki, jeśli posiadana nie pomieści kupionej okazyjnie niezbędnej do sporządzenia bulionu przęgi wołowej albo...

Dalszy ciąg, niestety, w następnym numerze.



Redaguje zespół w Wydawst. Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka“ w Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 88. Tel. 344 78. * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł. kwartalnie 12,- zł. * Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca * Prenumerate przyjmują wszystkie ościsłoci pocztowa. Historozze oraz PUPIK „Ruch“ — z zaznaczeniem na „Odgłosy“ Druk RSW „Prasa“ Łódź Żwirki 17 Z. 2000. VI. 60 r. R-4

przekł. biegów w podłodze. Hamulce hydr.; chłodzenie wodą, zbiornik paliwa poj. 63 l., bateria 64 Ah, instalacja elektr. 12 V. Nadwozie coupé lub kabriolet Park Ward dwudrzwiowe, 4/5 miejscowe; ciężar suchy 1425 kg. Ogum. wym. 6.00/6.40—15. zużycie paliwa 12—15 l/100 km., szybkość maks. 165 km/godz. 04an

B B.M.W. Isetta (N.R.F.)

znana niemiecka firma produkująca motocykle i samochody Od jesieni 1955 r. produkuje także w dużych seriach mikrosamochody na licencji włoskiej Isettv; producent: Bayerische Motoren-Werke A. G., München, Bundesrepublik Deutschland



B.M.W. Isetta

czterokołowy mikrosamochód licencji Isetty. tylne koła charakterystycznie zbliżone (czterosiładowy).

Silnik 4-suwowy, 1 cyl. o poj. skok. 295 cm³ i mocy 13 KM (DIN) przy 5.200 obr./min. Stos. spręż. 7,0:1. Skrzynia biegów 4 przekł. z biegiem wstecznym, przekł. biegów z boku. Ham. hydr. Chłodzenie powietrzne; zbiornik paliwa poj. 13 l., bateria 24 Ah, inst. elektr. 12 V. Nadwozie coupé „faltdach“, 2 miejscowe, drzwi z przodu pojazdu; ciężar suchy 360 kg. Ogum. wym. 4.80-10. zużycie paliwa 4 l/100 km., szybkość maks. 85 km/godz.

Produkowany również z silnikiem 250 cm³ poj. skok. 245 cm³, mocy 12 KM (DIN) przy 5.800 obr./min. Stos. spr. 6.8:1 — pozostałe dane jak przy modelu z silnikiem 300 cm³.



YVONNE MITCHEL — aktorka angielska

EKRANIK

„JOVANKA I INNE” — hucznie reklamowany film włosko-jugosłowiański z Jeanne Moreau i Silvana Magnano — okazał się dziełem nieudanym. Amerykański reżyser Martin Ritt nie umiał sobie poradzić z realiami jugosłowiańskiej prowincji i z atmosferą okupacji. Po raz pierwszy został narażony na szwank autorytet potężnego producenta Dino de Laurentis, który dotąd finansował przeważnie filmy wybitne. Swoją drogą — jeszcze jeden dowód, że gdy film przyrządza kucharze z różnych, kilku krajów. Ostateczny rezultat wychodzi „zakalowało”.

NASZYM ZDANIEM — tak zwane błyskotliwe kariery aktorów — przeważnie niewiele są warte... Doprawdy w nich osiągnięć w filmie — aktor dochodzi powoli. Zgodnie z tą tezą, sledzimy uważnie przebieg kariery filmowej aktora warszawskiego Teatru Dramatycznego, LUDWIKA PAKA. Zaczynał od epizodów w kilku filmach. Potem — dostał dużą rolę w „Lunatykach” reżyserii Bohdana Poręby — gdzie „wykoscił” wszystkich, najbardziej doświadczonych partnerów. Obecnie — szczerbel wyżej — PAK gra głównego bohatera w filmie „Szklana góra” (reżyser — Paweł Kormowski). Nie chcemy przedwcześnie oceniać filmu (komu i kiedy to się udało???) — ale przepowiadamy, że za pół roku, za rok — o Ludwiku Paku będzie głośno w całej Polsce.

RZADKO ZDARZA SIĘ, by filmowcy — w krótkim okresie lat niespełna dziesięciu — podejmowali po raz wtóry ekranizację tego samego utworu. A jednak — podjęli tak ambitne zadanie radzieccy filmowcy z wytwórni „Lenfilm”, biorąc na warsztat sławną sztukę amerykańskiego pisarza Artura Millera, „Śmierć komiwojżera”, znaną łódzким widzom z Teatru Nowego. Poprzednią wersję filmową tego dramatu nakręcił w roku 1951 Laslo Benedek, późniejszy autor bardzo dużej roli w filmie, zrealizowanego w NRF — „Dzieci, matki i general”.

JUŻ W LIPCU wchodzi na nasze ekrany interesujący film angielski „Oni ocalili Londyn”. Jest to opowieść o sukcesie polskiego wywiadu, który w czasie okupacji przekazał zawczasu do W. Brytanii informacje o planowanym przez Niemców użyciu superbroni „V-1”.

DONALD

RENE CLAIR AKADEMIKIEM

PO DŁUGICH TARGACH — WIELKI REŻYSER FRANCUSKI, RENE CLAIR — ZOSTAŁ WYBRANY CZŁONKIEM AKADEMII FRANCUSKIEJ, PIERWSZY FILMOWIEC, KTÓRY ZASIADŁ W TYM SZLACHETNYM AREOPAGU!

CHOCIAŻ PERSONALNE SPRAWY AKADEMII — NIE GRZEJĄ NAS, NI ZIĘBIA — POPIERAMY WYBÓR.

(Po prawej i po lewej — niepublikowane dotąd w Polsce zdjęcia Rene Claira).



PODOBNO...

„poważne inwestycje planuje na rok bieżący Centralny Zarząd Wytwórni Filmowych. Zakupiono ostatecznie kilkadziesiąt szaf na pomieszczenie odrzuconych scenariuszy. Ponadto w jedenastu pokojach montuje się pojemne półki dla nowych filmów produkcji krajowej.

jednocześnie zarabia na tym pieniądze...

Oglądając rzecz z drugiej strony — Spółdzielnia Usług Filmowych reprezentuje też słuszną zasadę: nie czas żałować stów, gdy patrzą maszy...

Tylko co mają robić biedni absolwenci Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych?

* * *

„Związek Polskich Artystów Plastyków — Oddział Łódź ma ufundować specjalną nagrodę dla bezimiennego autora przemyśleń reklamowych, wyświetlanych przed każdym seansem w kinach łódzkich. Anonimowy artysta dokazał sztuki, która nie udała się żadnemu z łódzkich plastyków: trafił do mas, a

„bawił w Warszawie odpowiedzialny producent francuski, proponując realizację filmu polsko-francuskiego (albo — jeśli kto ma ochotę — francusko-polskiego). A jednak żaden z zespołów nie podjął ryzyka. W myśl wypróbowanej zasady: koprodukcja — k. o. produkcja...

Mav. Kost.

UWAGA! WSZYSTKIE INFORMACJE ZAMIESZCZONE W RUBRYCE „PODOBNO...” — MOGA, ALE NIE MUSZĄ ODPOWIEDAĆ PRAWDZIE, W RAZIE PRETENSJI — CHĘTNIE ZAMIESCIMY W „MIESZANCE” SPROSTOWANIE.

„Niebezpieczny wiek”

Niestety w twórczości filmowej zdarza się często że interesujący temat nie znajduje twórców potrafiących ukazać go w utworze jednocześnie czytelnym i stojącym na dobrym poziomie artystycznym. Nie potrafił dokonać tej sztuki scenarzysta i zarazem reżyser „Niebezpiecznego wieku” — Leopold Torres-Rios. A szkoda, bo ten argentyński film porusza problem tzw. wieku niebezpiecznego — wieku dojrzewania, okresu pierwszych rodzących się uczuć u kilkunastoletków. Reżyser próbował ukazać skomplikowaną psychikę młodych bohaterów. „Niebezpieczny wiek” podobnie jak włoski film „Jutro będzie za późno” jest głosem na temat problemu od lat będącego przedmiotem badań i dociekań psychologów i pedagogów, przedmiotem zainteresowania i troski rodziców.

Niewatpliwie i ten film zawiera wiele interesujących obserwacji, wiele materiału obyczajowego. Cóż z tego, gdy reżyser nie umiał sobie poradzić z tym materiałem, nie poddał go twórczej selekcji. Chciał zrealizować dramat obyczajowy, nie bardzo jednak wiedział jak zbudować fabułę, jak nadać całości odpowiednie tempo, jakie zastosować skuteczne skrótów filmowe i symbole. Zwłaszcza symboliki jest tu dużo. Nieudolna, mało komunikatywna narracja oraz słabe aktorstwo, szczególnie wykonawców ról dorosłych, czynią ten film złym utworem z dobrymi intencjami.

ALEKSANDER NIESMIAŁEK



KTÓŻ NIE POZNA? — Brigitte Bardot

ŁÓDZCY
aktorzy
FILMOWI

Jubileusz? — zaczęliśmy dobrać filmy, w których pan Benoit występował dotychczas — wyszło równo dwadzieścia — począwszy od realizowanej w 1945 roku „Łódź-Norymberga”, przez „Warszawską premierę”, „Piaśkę z ulicy Barskiej”, „Celulozę”, „Ewę” aż po „Krzyżaków”.

— Żadną. Nie grałem dotychczas roli, która by mnie szczególnie zainteresowała. — Wobec tego, może Pan spróbuje określić postać jaką chciałby Pan zagrać? — Czy ja wiem, mógłby to być np. człowiek pozorowanie wesoły, uwikłany w sytuację komediową, ale ukrywający głębokie konflikty wewnętrzne. — Czy w teatrze również nie grał Pan ciekawej roli?

MAŁY JUBILEUSZ LUDWIKA BENOIT

— W teatrze, oczywiście, grałem. Był to Skapiec Moliera — przed 10 laty we Wrocławiu. Skapiec był dla mnie szczególnie trudny — nie miałem wtedy jeszcze trzydziestu lat. — Czy Pana zdaniem współpraca zespołów filmowych z aktorami przebiega właściwie? — Nie, sama zasada współpracy jest zła. Zespoły angażują aktorów nagle, niesystematycznie — aktor ma ciągle kłopoty z dzieleniem swego czasu między teatrem a filmem. Nie wpływa to na pewno korzystnie na poziom wykonywanej przez niego roli. Sądzę, że zespoły realizatorów filmowych winny dążyć do stworzenia takiej sytuacji by aktor angażowany na cały sezon, od razu do kilku filmów. Miałby on wtedy dość czasu na rzetelną pracę nad pogłębianiem roli, na syste-

matyczniejsze konsultacje z reżyserem. — Jakże Pan widzi różnice między grą na scenie, a grą przed kamerą? — Różnice są olbrzymie. Nie starczyłoby w piśmie miejsca, by je wylizywać. W każdym razie — teatr daje rangę i fach, a film — co tu dużo mówić — popularność i pieniądze. — Kto z aktorów lub aktorek zagranicznych zrobił na Panu duże wrażenie? — Ostatnio byłem zafascynowany Julią Havvis z „Na wschód od Edenu”. Ta młoda aktorka ma talent i „fach” na równi niemal z Audrey Hepburn. — A co by Pan powiedział o sławnym Jamesie Deanie? — Taka mieszanina koncentracji z dekoncentracją... — Nie wszyscy wiedzą, jest Pan reżyserem teatral-

nym. Jakże sztukę pan de-tychczas reżyserował? — Zadebiutowałem „Maria Stuart” Słowackiego. Potem był: „Ostry dyżur”, „Pastorałki”, „Henryk VI na łowach”, „Skowronek” „Szelmostwa Skapena” i kilka innych. — Pod koniec rozmowy pan Benoit wraca do pierwszego pytania. — Przypomniał mi się „Świerczewski” przed de gradacją. Mianowicie film o Świerczewskim w Hiszpanii — „General zwycięstwa”. Właśnie tam miałem najelekawszą chyba rolę: pułkownika Manuella, hiszpańskiego oficera politycznego. A jeśli Pan tak koniecznie chce wiedzieć jaką wielką rolę filmową chciał nie bym zagrał — więc Zamiarano z „La Strady” — i Marty.

Rozmawiał: T. Z.

do redaktora
mieszanki

Dziwi się pan zapewne i zżyma, napotykać wśród tekstów zamieszczanych w „Mieszance” tak często słowo „film”. Chciałem więc zwrócić panu uwagę na ubóstwo tak zwanego „języka filmowego”. — Np. w literaturze mówi się: książka, powieść, utwór, opowiadanie, nowela, opowieść, proza, tekst, epika itp. — W sztuce: obraz, płótno, kompozycja, olej, gwasz, akwarela... — W muzyce: kompozycja, utwór, preludium, rondo, mazurek, uwertura, etc. — Natomiast w filmie — tylko „film”. Najwyżej jeszcze: krótkometrażówka, etiuda i — anachronicznie — obraz. — Co ma robić recenzent? Czym zastąpić jedynę słowo? — TADEUSZ ZAKOWIECKI (recenzent filmowy)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

???